

odgłosy



Nr 18 (322)
3. V. 1964 R.
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: Młodszy niż wczoraj ● Prototyp leży pod Łodzią ● Wyrwani z zielonego piekła ● Opowiadanie włoskie ● Życie z muzyką ● Polonica ● Felietony ● Recenzje

WIKTOR WOROSZYLSKI

Nasza Młodość

(fragmenty)

Ten chłopiec, który dopiero co wygramolił się z węglarki, zdziwiony i brudny — całą noc trwała droga z Kutna, padał deszcz, rozmazując smugi czarnego pyłu na tłumokach i twarzach — a przedtem jeszcze był tydzień w repatriacyjnej ciepłuszce z dymiącą pośrodku kóz — ale z Kutna ciepłuszka wraz z całym składem szła dalej na Poznań, trzeba było zdobywać wagon do Łodzi, ojciec chłopca trzymał się za chore serce, chłopiec z butelką samogonu poszedł do komendanta, pijany komendant, nie patrząc na niego, zrobił ruch ręką: „postaw” — i teraz chłopiec, zmęczony i brudny — zziębnięty i brudny — nie, jednak prawdziwie: zdziwiony i brudny — stoi na wielkim dworcu, wśród hałasu, popychania się, płaczu dzieci, lamentu kobiet, jeszcze, czyichś przekleństw, nawoływań i śpiewów — po raz pierwszy w życiu na tak wielkim dworcu — po raz pierwszy w życiu wśród takiego ruchu i zgietku — jest zamglony ranek, deszcz śniący — chłopiec stoi na Dworcu Kaliskim w Łodzi.

Potem jedzie tramwajem — jeszcze nigdy nie jechał tramwajem — i szyny dzwonią mu nieznaną melodią.

Po obu stronach ulicy domy wysokie — jeszcze nigdy nie widział takich wysokich domów.

Jakiś mężczyzna ma na rękawie szeroką czerwoną opaskę z czarnymi literami: „PPS” — te litery chłopiec pamięta sprzed wojny, ale chyba nikt nie nosił ich na rękawie?

Jakaś kobieta mówi: „...i zamkłam to drzwi, i kuniec!”

W jego stronach nikt nie mówił „zamkłam” i „kuniec” — a w ogóle mowa toczyła się wolniej i śpiewniej — ale chłopcu podoba się szorstki, zaczepny dźwięk łódzkiej gwary, nawet te śmieszne zniekształcenia mają dla niego urok — mimo woli układa usta do naśladowania: „i kuniec” — i sam sobie wydaje się w tej chwili kimś zupełnie innym niż dotąd.

Nie wie jeszcze, że miasteczko nad Niemnem, które opuścił, będzie mu się śniło przez długie lata — aż do czasu, kiedy znów je odwiedzi i będzie po nim chodził, samotny i obcy, i opuści je po raz drugi, aby więcej nigdy nie tęsknić.

Ale wie już — raczej przeczuwa, niż wie — przecucie to jednak sprawdzi się, więc można je nazwać wiedzą — że miasto, w którym wygramolił się tego ranka z węglarki, stanie się miastem jego nowego losu, młodzieńczej przygody, zdarzeń szczególnych — nie tyle szczególnych w swojej istocie, co szczególnie przeżywanych przez niego — i może decydujących o reszcie życia.

I ten ranek na dworcu, i dzwonięcie tramwaju, i mężczyzna z opaską PPS, i strzepy rozmów, i domy — wszystko to jest zapowiedź.

Jeszcze kolejka do PUR — długa, czarna, nieufna — i atramentowe zacieki na arkuszach rejestracyjnych — a ci, co wychodzą — to już obywatele miasta, ciągle największego na świecie.

Nocleg na podłodze w pustym mieszkaniu, wśród papierów jedynie, orłem Rzeszy znaczonych oraz hitlerowskich śpiewników i samouczków Ostlehere (to pozostałości innego życia, które stąd uciekło w popłochu, aby zrobić miejsce życiu przybyszy).

Nazajutrz chłopiec wychodzi z domu.

W tym domu mieszka.

Mieszka na tej ulicy, w tym mieście.

Nie dziwi go dzwonięcie tramwajów, ani tłum na ulicy.

Może wsiądzie do któregoś, a może pójdzie piechotą.

Nie wiadomo, w którą stronę, ale to się zaraz okaże.

Jest zwyczajny dzień.

Nie bardzo zwyczajny: wczesna wiosna 1945 roku.

Wojna nie skończona, lecz niebawem się skończy — i nikt już nie wątpi, jak.

Chłopiec ma osiemnaście lat bez kilku miesięcy.

Ten chłopiec to ja — chociaż nie jestem pewny w tej chwili, czy pierwsza osoba dokładnie oddaje wszystko, co mnie z nim łączy i dzieli.

Jestem od niego dwa razy starszy i nie zawsze już potrafię go zrozumieć — mam dla niego tyleż sympatii, co ironii, być może, niesprawiedliwej — tyleż współczucia, o które się nie ubiega, co zazdrości, na którą wzrusza ramionami — i równie łatwo pisać mi o nim „on”, jak „ja” o innych ludziach, w których skórze nigdy nie byłem, których wyobraziłem sobie i wymyśliłem.

A jednak ten chłopiec — to ja.

Czy rzeczywiście wtedy i tam zdarzyło się tyle, ile zechciała później umieścić nasza wspominająca wyobraźnia? (Nasza, powiadam, bo przecież nie tylko moja — starczy, że się zbierzemy w paru tamtejszych, ówczesnych: a pamiętasz? no tak, pamiętam — godzinami z faktów drobnych, z ocalonych utatków wrażeń odbudowujemy naszą młodość, do której czujemy się przywiązani tak dziwnie i nierozsądnie). Czy zatem rzeczywiście lata owe były bardziej znaczące niż inne, bardziej nasycone historią, w której braliśmy udział, bardziej chłonne i barwne — czy też jest to zwykła kombatancka legenda, wysnuta dla usprawiedliwienia późniejszego lenistwa i pustki, dla ubrania życiorysów w minioną, ale tym promienniejszą aureolę?

Nie tak łatwo o odpowiedź stanowiącą i jednoznaczna.

Sądze, że był to istotnie okres jedyny w swoim rodzaju (ale i przed nim, i po nim też były okresy jedyne w swoim rodzaju) — i że właśnie w Łodzi miały miejsce procesy społeczne osobliwej gęstości i natężenia — i w Łodzi także procesom owym towarzyszyły prądy intelektualne gorętsze i bogatsze niż podówczas gdziekolwiek indziej w tym kraju.

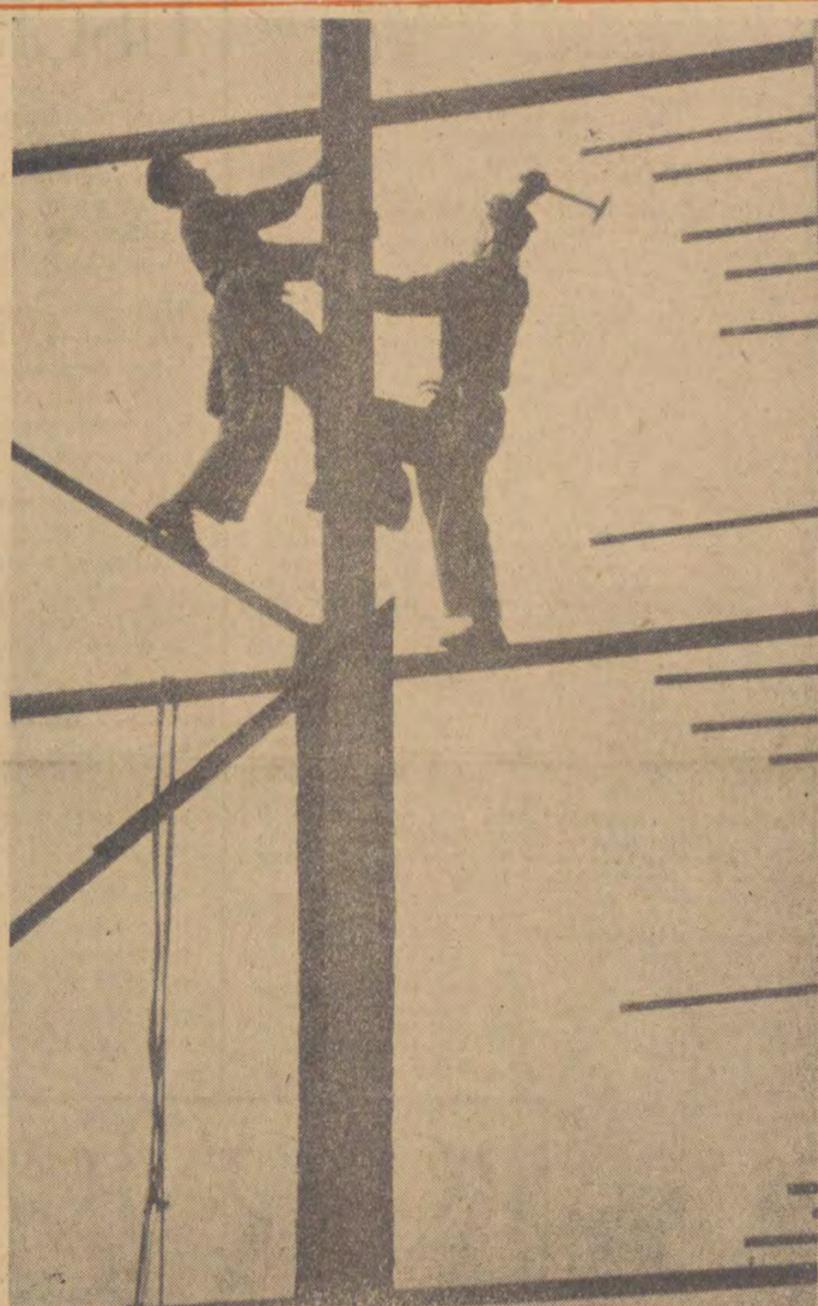
Nie wszyscy jednak musieli tak to przeżywać jak my.

Nie mam tu na myśli tak zwanego zaangażowania.

Byli ludzie zaangażowani poważnie od nas — z głębszą świadomością i realniejszymi wynikami swoich poczynań — doświadczeni i mądrzy — zawdzięczaliśmy im więcej, niż gotowiśmy byli przyznać — to oni formułowali wątki myślowe, które myśmy odbierali, upraszczali i nieudolnie ciągnęli — jeśli później wystąpiliśmy przeciwko niektórym z nich, stało się to również w oparciu o ich nauki.

Byli ludzie, którzy za swoje zaangażowanie wyższą od nas płacili cenę — dużo wcześniej, zanim ujrzelśmy ich w kłępsko leżących mundurach i furażerkach na trybunach partyjnych wieców

Dalszy ciąg na str. 6



EDWARD SZYMAŃSKI

Pierwszy Maj

Wichrze, wichrze majowy!
Sztandary na strzepy rwij!
Nawiej nam chmurą nad głowy
i deszczem krwi.

Ubity młotami nóg,
rozdarty tupotem koni,
niech pod stopami nam bruk
zadzwoniony
bruk czerwony.

Cisza. Cisza za nami.
W nas trzask iskier.
Ręką płonąca sięgamy
po dni bliskie.

Nie kwiaty, nie kwiaty nam w pięść
Stopy w żelazo obuć!
Żelaznym żniwem chrześci
ziemia okopów i grobów.

Zgąsło nam słońce nad świętem,
krwią zachłysnęła się pieśń —
usta nasze zamknięte,
otwarta pierś.

GENEZA

„Trzeba to wszystko zmienić, dosyć krzywd!
Dość krwi i potu darmo z nas wypili.
Dość pracy byle wyżyć; nigdy
Dla własnych myśli ani chwili.
My chcemy wachać kwiaty, chcemy patrzeć,
Jak jasne słońce wschodzi i zachodzi.
Wiemy, że Bóg na niebie też nie chciał inaczej
Żądamy ośmiu godzin!
Z nami są towarzysze z fabryk, doków i stoczni,
Z kopalń, warsztatów i hut.
Pracuj przez osiem godzin, dalszych osiem
wypoczywaj,
Zresztą — co chcesz, to rób!”

Tak brzmiała pieśń robotników amerykańskich sprzed osiemdziesięciu lat¹⁾. Wielkie ośrodki przemysłowe Stanów Zjednoczonych ogarnął ruch walki o skrócenie czasu pracy do ośmiu godzin dziennie. W latach 1884—1885 toczyła się ogromna agitacja wokół tej sprawy, a zjazdy robotnicze wyznaczyły termin 1 maja 1886 roku jako dzień strajku generalnego, który miałby doprowadzić do triumfu sprawy ośmiu godzin. Jednym z głównych ośrodków walki było Chicago. Robotnicy chicagowscy (których ówczesny los i dola znalazły świetny i wstrząsający zarazem opis w powieści Uptona Sinclaha „Grzęzawisko”) przystąpili masowo do walki, organizowali wiece i demonstracje. Demonstracja w dniu 4 maja na placu Haymarket przybrała krwawy charakter. Na policjantów szarżujących demonstrację ktoś rzucił bombę — „ktoś”: anarchystyczny fanatyk lub prowokator. Padły ofiary. Ośmiu działaczy robotniczych postawiono przed sądem i choć nie udowodniono im żadnej odpowiedzialności za przelaną krew, uznano ich winnymi. Czterech z nich skazano na śmierć i wyrok wykonano. Czterech skazano na długoletnie więzienie. Jeden spośród skazanych na więzienie popełnił samobójstwo. Po siedmiu latach trzech więźniów, którzy przeżyli, uwolnił nowy liberalny gubernator stanu Illinois John Peter Altgeld, stanowiący na stańowisku, że wyroki z 1886 roku były podyktowane chęcią brutalnej zemsty, a nie zasadami sprawiedliwości.

75 lat temu, dnia 14 lipca 1889 roku, zebrał się w Paryżu Kongres, który zgromadził partie i organizacje socjalistyczne szeregu krajów. Tego właśnie dnia obchodzono stuletnią rocznicę zburzenia Bastylii. Uczestnicy Kongresu wybrali tę datę umyślnie. To właśnie światowy ruch robotniczy podnosił hasła Wielkiej Rewolucji Francuskiej, dostrzegając jednocześnie, że są one wciąż dalekie od pełnej realizacji. Było jeszcze wiele Bastylii do zdobycia, a w miejsce starych powstały nowe, znacznie potężniejsze. Swobody obywatelskie i polityczne istniały tylko w nielicznych krajach, a wolność, tak, jak i równość wobec prawa czy równość w wyborach ciał przedstawicielskich miały charakter formalny i ograniczony. Najgorzej sprawa się miała z trzecim wielkim hasłem Rewolucji, hasłem braterstwa ludzi i narodów. Mijał krótkotrwały okres liberalizmu wolno-handlowego i pacyfizmu, a wielkie mocarstwa były już zaangażowane w ostrej rywalizacji o obszary kolonialne, ugruntowywał się nacjonalizm i rasizm. Socjalizm proklamował międzynarodową

solidarność i braterstwo uciskanych klas i narodów, a walka światowego proletariatu winna była doprowadzić do zniszczenia źródeł wszelkich antagonizmów społecznych i narodowych.

Na tym właśnie Kongresie ustanowiono PIERWSZY MAJA DNIEM SOLIDARNEJ WALKI PROLETARIATU CAŁEGO ŚWIATA o bliższe i dalsze cele ruchu robotniczego. Wybrano ów dzień idący za przykładem robotników z oceanu oraz chcąc uczcić w ten sposób ludzi, którzy padli ofiarą klasowej „sprawiedliwości”.

Przypomnienie genezy Święta Majowego ma swój sens. Ongiś amerykański i zachodnioeuropejski ruch robotniczy był w awangardzie postępu. Ruchy te zostały prześcignięte w innych krajach. Pierwsze państwo socjalistyczne powstało na gruzach caratu, a rewolucja mas pracujących zwyciężyła jak dotąd w krajach Europy wschodniej i w krajach Azji. Nie wolno nam jednak zapominać, że korzenie wielkiej tradycji tkwią wszędzie i że kraje Zachodu mają swe ważne karty w historii światowego ruchu robotniczego. Mają też i swe karty dotąd niezapisane.

1) Przytaczamy ją wg tłumaczenia zamieszczonego w książce Ph. S. Fenera: „Dzieje ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych”, t. II (tłum. z ang.), Warszawa, 1958, s. 131.

Nie o sobie piszemy. Jesteśmy robotnikami słowa. Musimy wypowiedzieć to, czego inni ludzie warsztatu wypowiedzieć nie mogą. W bezlitosnej walce proletariatu z burżuazją stoimy zdecydowanie po lewej stronie barykady. Gniew, wiara w zwycięstwo i radość — radość walki — każą nam pisać. Niech słowa nasze padną jak salwy w ulice śródmieścia, niech odegrzmia echem w dzielnicach fabrycznych. Walczymy o nowy ład społeczny. Walka ta jest najwyższą treścią naszej twórczości.

(Wstęp do biuletynu poetyckiego „Trzy salwy” Władysława Broniewskiego, Stanisława Ryszarda Standego i Witolda Wandurskiego, wydane w roku 1925).

STANISŁAW RYSZARD STANDE

UŚCISK DŁONI

Czarni żółci brunatni ludzie ludzie ludzie
pokażcie nam pokażcie myśmy biali ślepi
jak się cienkimi palcami grube sztaby rwie
jak się z gliny czerwonej złote domy lepi
jak się bunt wjeź wężem po złej szorstkiej grudzie
jak się od wschodu na zachód przewala i pnie

falszem jest twarde prawo białego człowieka
pękł ekran na który sen swój rzucał Jack London
wstęga obrazów się przerwie zalka Mia May
gdy w sieci waszych warkoczy ugrzęźnie Londyn!
nużę, pędem na chrzciny niechaj nikt nie czeka
oto w skwarnych lipcach się rodzi zielony maj!

nie pozwalajcie truć się oparami opium
ni w złote czy srebrne krążki zwiąć waszej krwi
człowiek musi być droższy niż ryż i herbata
musi upijać się winem musujących chwil
wszędzie spalimy ślad stóp najędźdźczych na popiół
by wreszcie człowiek rozpoznał w człowieku brata!

wtedy ziemia się stanie jak Diana z Efezu
w tysiąc żywnych jej piersi wciśniemy swe wargi
wszyscy wszyscy biali żółci brunatni czarni
na bramy miast nowych nowe przybijem tezy!
bracie te słowa są tankami chińskiej armii
weź je przytul do serca w skośne oczy zgarnij!

po polsku także się kocha klnie nienawidzi
i u nas jest Czindao tak jak u was jest Łódź
my też mamy niebo ziemię i wewnętrzny front
wszędzie jest człek co ginie i człek co się budzi
oczy przeciera patrzy i z radością widzi:
oto łuki rąk napiąć

złowić zielony łąd!

EDWARD SZYMAŃSKI

PRACA

Może nas nigdy nie było,
może nas wcale nie ma.
Jest tylko wielka miłość
i chlebna, szeroka ziemia.

Nad nami, w niebie niebieskiem
ktoś jasne słońce zapalił.
Przez drogi wiejskie i miejskie
przejdziemy ciś i mali.

Przemina nasze imiona
w dniach nowych, jasnych i ciemnych.
Młodsze, silniejsze ramiona
podejmą trud nasz codzienny.

Może zawilej lub prościej,
z ziemi jak z książki dla malców,
ktoś będzie uczył miłości,
piękna i prawdy w walce.

I tylko po nas zostanie
coś, co się zawsze powraca:
wielkie, największe kochanie
i prosta, najprostsza praca.

WITOLD WANDURSKI

STOLARKA

Jeśli wolno mi jeszcze marzyć,
Niech marzenie doda mi sił:
Chcę nauczyć się kunsztu stolarzy,
Muzyki hebla i pił.

Jakiś stary, spocony majster
Ohebluje mi wołę na dąb.
Będę kornie gotował mu klajster,
Będę ostrzył na pile ząb.

Białą skórę na dłoniach wydrę,
Byle tylko stolarzyć wciąż,
Byle mordą stalową świdra
Wgryzać się w drzewny miąższ.

Może da mi wykończyć mebel:
Będę kliny zabił do dziur.
Da mi w łapy okrzepłe hebel —
W arabeski zakręć wiór.

Zabiegają mi ręce, zaskaczą
Wśród wiórów pachnących i drzazg,
A serce o pierś wykołaczę
Radosny murzyński jazz.

A gdy będę już robił sprawnie
(Rok uplynie — a może i dwa)
Wykreślę z paszportu: prawnik —
Wpiszę dumnie: stolarz i drwal.

W artelu wesoło i tłumnie —
Zheblujemy za białym białem
I w ogromnej drewnianej trumnie
Pochowamy umary świat.

POLONICA

NIEMIECKA KSIĄŻKA
O POLSCE

W Berlinie wschodnim, nakładem Deutsche Militärverlag, ukazała się powieść Güntera Sprangera pt. „Stützpunkt Rokitno” (Punkt oparcia Rokitno). Akcja powieści dzieje się na Podlasiu w czasie wojny i opowiada o walce partyzantów przeciwko faszystom niemieckim. Zacytujmy słowa jednego z bohaterów: „Śmierć tego Niemca nie może być na marne. On pozwala mi wierzyć, że faszystom nie zniszczymy w tym narodzie tego, co dobre, i umacnia mnie w nadziei, że pomimo wszystko możliwa jest przyjaźń między Polakami i Niemcami.” Słowa te wygłasza Polak po śmierci Niemca, walczącego po stronie partyzanckiej, który zginął od kuli niemieckiego faszysty.

PRZEKLADY UTWORÓW
REYMONTA

Ostatnio notujemy szereg nowych wydań utworów

Reymonta w NRD. W Verlag der Nation ukazała się „Komediantka” w tłumaczeniu i opracowaniu na pięknym papierze, z ilustracjami w tekście oraz z posłowiem i przypisami. Zasłużone i stare wydawnictwo „Reclam” w Lipsku ogłosiło wybór opowiadań Reymonta pt. „W jesień na noc”, zawierający następujące utwory: „Śmierć”, „Orka”, „Pracy!” i „W jesień na noc”. Opowiadania ukazały się w nowych przekładach Henryka Bereski i Otto Malleka, a jedno z opowiadań (Śmierć) opublikowano w starym tłumaczeniu Jean Paul d'Ardeschah. Może warto z tej okazji przypomnieć, że pod pseudo-nimem Jean Paul d'Ardeschah kryje się Jan Kaczkowski, w okresie międzywojennym konsul polski w Hadze, który zajmował się tłumaczeniem utworów polskich pisarzy na niemiecki. On to przełożył a Karl Hauptmann poprawił jego przekład „Chłopów”, których w roku 1924 odznaczono nagrodą Nobla. Przekład niemiecki „Chłopów” uchodzi

za jeden z najlepszych przekładów tego utworu na języki obce.

KNJIZEVNE NOVINE

Wychodzący w Belgradzie tygodnik „Knjizevne Novine” uważnie śledzi sprawy polskie, zwłaszcza ruch literacki i wydawniczy, któremu nieraz poświęca sporo miejsca na swych łamach. W numerze z 17 kwietnia br. ukazała się w tym tygodniu rozmowa na temat literatury polskiej oraz krótkie omówienie książki Jana Koprowskiego „Z półdnia i północy.”

WSPÓLCZESNA
LITERATURA
ŚWIATOWA

Pod powyższym tytułem („Weltliteratur der Gegenwart”) ogłosił Hermann Glaser w Berlinie zachodnim niedużą książkę, w której znajdujemy również omówienie literatury polskiej. Z pisarzy naszych uwzględnieni zostali m. innymi: Borowski, Filipowicz, Iwaszkiewicz, Lec, Morcinek, Nałkowska, Nowakowski, Piasecki, Reymont i Schulz.

SLAWOMIR MROZEK

l'Éléphant

Traduit du polonais par ANNA POSNER



Illustrations de DANIEL MRÓZ

ÉDITIONS ALBIN MICHEL

Mrozek jest dziś chyba najpopularniejszym pisarzem polskim na Zachodzie.

KONRAD FREJDLICH Młodszy niż wczoraj

W końcu i Młynyk doczekał się swojego czasu. Tygodnia nie ma, żeby coś nie „stało” w gazecie, albo na przysiadku.

Opinie te można usłyszeć w każdym domu przy ulicy Śląskiej. Ale już tej szczytowej z torów kolei wodowej. Gdzie chałupy porozielande ogrodami albo wręcz polami, a jedna strona ulicy pole kompletnie i szczyt. Zza parkanu niedaleko sklepu spożywczego szerzą tryby maszyni kółka rolnicze. Ujdziez jeszcze, nowa groźba dla przechodnia — PALENIE WZBRONIONE na poczynialnych deskach stół.

Dopiero na zakrecie konfidencjonalnie zwanym Złotym Rogiem ziemie orne dają trochę miejsca zabudowie. Ale tam znowu jest zapora w postaci nasypu kolejowego, gdzie rzadko przelatują pociągi z Warszawy do Łodzi-Chojen. Bo przeważnie się wloką ciężkie, towarowe, długie na kilometr i zasmradzają okolice. Więc jeśli Młynyk co zyskał tym nasypem, to chyba miejsce widokowe. Wdrapiesz się po stoku i spojrzysz na południe, pod słońce — chłopci sieją z płachty; cała nagroda za wysiłek i ból żreć. Na północ łatwiej się patrzy, choć pejzaż już skomplikowany. Daleko, bliżej horyzontu komin Wdewskiej Manufaktury, czarna krescinka w powietrzu. Zwarta masa bloków Dabrowy widać o wiele lepiej, nawet szczegóły, nawet pracę wysokich dźwigów unoszących płyty. Znudzi się, to wśród drzew wyjrzą autobusy. Kursuje co pół godziny, ale zawsze. Budkę MPK tak samo łatwo dostrzec wśród skupionych choć bezładnie domków i ogrodów Młynyka. Cała kolonia zamieszkuje nie więcej niż 700 osób, co wiadomo i stąd, że w czasie ostatnich wyborów było 485 uprawnionych do oddania głosu.

Starsi są tu w przewadze i inna jest ich pamięć. „Młynyk, co tu gadać, przed laty był sławny. Dzień w dzień z dziesiąt tysięcy ludzi waliło nad wodę. Może się myli, że tyle, może ich było więcej. Prawie murawa nie wystawała spod tyłków”.

Tym razem porozumienie jest łatwiejsze, bo stary naprawdę poknął haczyk. Młodzi, co pokazywali drogę, mówią, że oho, Golebiewski dosiadał swego konia. I rzeczywiście. Odkłada szpadel, a potem prosi na ławkę przed domem. Sam też siada, raczej odczeka. Zwa wość tylko w oczkach skupionych i bystrych.

„I skąd to się nie schodzili, z jakich dzielnic. Ja sam musiałem na piechty pokonać pół miasta. Trzy razy w tygodniu, jak tylko zrobiło się ciepło. Z piędem, albo wprost w trawę człowiek uwalniał się i leżał. Trzy dni w fabryce, drugie trzy tutaj, nie było roboty. Z kumpłami kupowałem składkowe pół litra. Poza tym rawozie i woda we flasce. Nam to starczyło, bo byliśmy młodzi”.

Przerwał i pokazuje ręką, jakby do tych ścian było z kilometr, a nie mniej niż trzy kroki.

„Byłem rozmówiony w Młynyku. Dowody?”

Ciągle ta ręka wyciągnięta i palce powalane świeżą ziemią. „Na rok przed wojną postawiłem ten dom do spółki ze szwagrem. Starczy?”

Mnie owszem. On wstaje i zaprasza do wnętrza. Po drodze przypomina sobie:

„Pałacyk, widział pan pałacyk?”

3.

Co dla miejscowych pałacykiem, dla Prusa może byłoby rudera. Teraz jest to rudera do kwadratu. Przez nie oszklono werandę z gwizdem przelatuje wiatr, a ściany podchożą wilgocią. Cegły mają kolor brudno-brunatny.

Mury tego budynku nigdy nie były tynkowane. Nawet w najlaskawszych dla nich latach, gdy Reissweld zarybiał stawy, a wiatr znosił nad wodę dym z jego cegieln. Właścicielowi było na imię Jakub, na ładnych parę lat przed wojną dzieci wysłał do Palestyny. A sam poszedł z torbami w trzy-

dziestym ósmym. Urząd Skarbowy położył pieczęć na pałacyku i całym majątku. „Co zrobić, im się udało, moja strata” — miał powiedzieć ludziom, kiedy przyszli współczuć.

Na licytacji majątek odkupił Poranski. Nikt go dotąd nie znał, nazwisko rdzennie polskie. W pierwszych dniach okupacji podpisał „okale” i na dole pałacyku urządził bar dla esesmanów. Cała okupacja pełno było tego paskudztwa w łódkach, przyjeżdżali samochodami i na motocyklach. Poranski odszykował pałacyk jak potrafił. Reissweld umarł w getcie.

Po wojnie pałacyk zmienił właścicieli, ale łatwiej było widać o tytuł prawny niż o gospodarza. Harcerze wprawdzie nie palili ognisk na podłodze, ale za to wynosili zegary z całego budynku. Przepadły kamień w wodę, spuszczone stawy i też się nie znalazły. Nowy właściciel, partyzant z Buga kochał się w militariach. Nie kował ryb na wędkę, tylko walił w środek stawu granatami. Ludzie bali się o dzieci, więc napisali, gdzie trzeba. Doniero wtedy majątek przydzielono Majeranowskiemu.

Majeranowski utrzymał pałacyk w stanie, który zastał, bo nie miał sił, żeby przywrócić mu dawną świetność. Wywiesił tabliczki KAPIEL, W STAWIE I ŁAPANIE RYB ADM WZBRONIONE i co roku składał łód pod kopcem trocin na grobli. W zeszłym roku wyniósł się na Rude do bloków. Pałacyk mało rozbiarać, dopiero ostatnio zdecydowano, że nie, ale Majeranowski do niego już nie wrócił. Tylko na piętrze trzyma resztkę mebli.

Dół pałacyku dzieli pewna rodzina do spółki ze świetlicą. Z kolei świetlica dzieli między siebie 8 właścicieli. Komitet blokowy i kółko rolnicze. Front Jedności Narodu, Liga Kobiet, ORMO, terenowe koło partyjne i grupa działania ZMS. Przy ścianie, z lewej strony stoja szafy i lada punktu bibliotecznego. Ktoś próbował wylizywać ile metrów przypada na każdego z uprawnionych, ale na szczęście nie miał kartki, a w pamięci trudno; dwadzieścia nie dzieli się przez osiem. Rachunek ten we współstaniu jest jeszcze trudniejszy.

Ale młodzi właściciele zgadzali się ze sobą, bo przecież nikt nie robił z tego lokalu klubu. A na zebraniu starzał, tylko należało do góry porozumieć się ze współzainteresowanymi. Bo jakby któremu z nich też przyszło zrobić zebranie w tym samym czasie, co tu gadać, poważnie by to nie wypadło.

Ale lokal, dwadzieścia metrów kwadratowych, stoliki, krzesła, telewizor i podium był przede wszystkim kim świetlica. Pod wieżozłokal miał zupełnie jednoznaczny charakter. Chyba, że robiono zabawę. Wtedy jak przed tą i przed pierwszą wojną trzeba było pilnować, żeby ludzie z Jędrzejowa nie skoczyli do oczu chłopcom z Wiskitana, albo żeby Dabrowa-wieś nie próbowała zmierzyć się z Chojnami. W zeszłym roku musieli przyjechać cztery ciężarówki milicji, aby powstrzymać rozprawę pomiędzy bandą wyrostków Zorro, i młodzieżą okolicznych podiódzkich wsi. Szła bójka na pięści i orczyki odpięte przemocą od koni pracujących w polu chłopów. Młodzi z Młynyka wzięli wówczas na siebie rolę nieuzupełnie bezstronnych obserwatorów, a jeden z miejscowych ułożył przyścielką balladę na melodie z Rio Bravo, której pierwsza strofa brzmi:

„Gdzieś na Chojnach, na prowincji Banda Siedmiu krąży tam. A na Młynyku Kaśka zamber Chciałby rozbić bandę niby koń”.

5.

Starsi są tu w przewadze i lubią wystawać wzdłuż płotów zupełnie tak samo jak generacja, której się was synał dopiero tej wiosny. Kiedy było potrzeba przedzieliły dynastyczne zatarty się zupełnie i wtedy błoga współpraca na dwa piętrach młynykowych pokoleń.

Tak się zdarzyło trzy lata temu, kiedy ośmiało jednego nieuzupełnie świętego cywila. Paraliż połowy ciała. Lekarz zakładowy

szukał dziury w całym, ale jej nie znalazł. Bowiem wyobraźnia nie wykraczała poza warunki pracy w fabryce. Komisja zasowska też pewnie uznała kalectwo młodego robotnika za wyjątkowy fenomen medyczny, bo przyznała rentę. A jednak przyczyna była całkiem materialna i jak się zdaje miała całkiem materialne zakończenie. Tak szepczą ci, którzy coś niecoś wiedzą na ten temat, a mówią mniej niż wiedzą, bo w zamkniętej do kilkunastu domków enklawie najbardziej szczerze są w takim wypadku pola.

Na Młynyku ciągną się pasem stawy i niemal nad samą wodę podchodzi łąki. Dużo otwartej przestrzeni, a jeszcze więcej zielonej trawy. Młodzi lubią tam chodzić i kiedyś pośród szczytów lody, odkryli źródło. Wytrysło na ich oczach poprzędzone falowaniem gruntu. W parę sekund woda zrobiła wprawy w gruncie wielkości leja bombowego. Zanim jednak chłopcy zdążyli nadać źródłu imię odkryli, że w pobliżu studni odkryli, nadbiegli robotnicy i wytłumaczyli, że to awaria wodociągu. Przygoda z fałszywym źródłem nauczyła chłopów, że wprawy można wzbogacać i urozmaicać.

Któregoś dnia zaopatrzeni w ostre druty urządzili turniej szermierczy. Fechtowali się nie ustalając reguł i nie dbając o ubezpieczenie. Znała się od maleńkości i wychodzili z założenia, że swój swojemu krzywdy nie robi. Jeden z walczących wyczerpany pojedynkiem opuścił szpadel i w całym zaufaniem wykrztusił: „Dość”. Mimo to kolega dźgnął zupełnie odsoniętego i już bezbronno przeciwnika. Wystraszony koniec drutu wbił głęboko w nos u podstawy czoła zawiadając nieco i o oko. Nie przygotowany na szych kolega zwał się w trawę. Kiedy po ja-

żyłku niż na Młynyk, częściej tam go spotkasz”.

Golebiewski szuka pointy i choć to niepotrzebne nie może się powstrzymać:

„Teraz, w sezonie i tysiąca ludzi trudno się doliczyć nad stawami. Chociaż chodzi autobus, czwarty rok już chodzi”.

Fakty te znane są na ogół czytelnikom gazet: na Młynyku powstanie ośrodek wypoczynkowo-sportowy. Stawy zostaną odmulone i poszerzone, i pewnie stana nad brzegami małe campingowe domki. Na wodę spłyną kajaki i żaglówki, a miłośnicy Łodzi będą odwiedzać muzeum skansenowskie, gdzie się między innymi zgromadzą zabytkowe chałupy z pierwszych osiedli przyfabrycznych.

Dzisiaj rozłożyło się nad wysychającymi stawami przedsiębiorstwo budowlane z barakami i krytymi wozami, które pracuje na rzecz przyszłego ośrodka. Niedaleko od baraków, prawie w tym samym miejscu, gdzie przed laty poljeanci zranili Gomulke, kiedy z ramienia KPP przemawiał do związkowców, stoi wielki kamień z napisem: „Terren ten został przeznaczony Uchwałą Rady Narodowej m. Łodzi na ośrodek wypoczynkowo-sportowy 28.8.62”.

Widzi pan ten nasyp?” — pyta Golebiewski. Ten sam nasyp wysoki, dogniatany przez towary, z którego widać cała okolice. Gdy Golebiewski stawał dom, nasypu jeszcze nie było. Doniero za okupacji Nienicy sprowadzili maszyny i blii ogromne słupy. „Budowali most nad Olechówką i tor do transportów wojskowych.



kimś czasie wyszedł ponownie na łąki musiał wspierać się na kumpłach. Tłumaczyli to sobie ostatecznie o chorobie i lekarstwach. Potem okazało się, że trwały niedowład. Ofiara liczyła 23 lata, a krzywdzieciel 18. No, cóż, pocholectwo jest pojęciem względnym. Tak zdecydowali rodzice obu chłopów i ugodzili się, tym bardziej że zakład pracy zaczął wypłacać rentę. Na jakich innych podstawach zbudowana jest ta zgodność wiadomo. Rodzice krzywdziecila prowadzą na Młynyku dobrze prosperujący interes.

W mieszkaniu Golebiewski rozgaduje się na dobre. Szuka popielniczki, to dla mnie i na wszelki wypadek przynosi kopertę pełną dokumentów. „Panie — zaczyna watek przerwany w ogrodzie — pan tak samo nie zna tego miasta. Za młody jest pan, żeby widzieć prawdziwe rynsztoki. Ja przed wojną mieszkalem w śródmieściu”.

Odwraca twarz do okna i to mu się od razu kojarzy, bo rąbce dosadnie: „Okno jak się otworzyło, to nie prócz smrodu nie puściło się wtedy do mieszkania. Na Młynyku co innego”.

Znowu bezpośrednio do mnie: „Zna pan niejakiego Jacha? Otóż ten Jach dziwił się, że teraz tak mało ludzi przychodzi na Młynyk”.

Kanalizacja? „Kanalizacja to jedno, a drugie, jakby to powiedzieć... Mam dzieci odchowane, syn nawet inżynier, w blokach na Kozinach mieszka. Od tylicy latał po tych łąkach, koczował przed domem za okupacji. Ale teraz nawet mój chłopak chętniej pojedzie do Polanicy czy jakiego

Używali do prac niewolników trzech narodowości”.

Przerzywa pyłająco. Kiwam głową.

„W nasypie może pan wykopać angielską czekoladę. Anglicy może u siebie robia, tu nie robili nawet jako niewolnicy. Rosjan pilnowali zandarmi uzbrojeni po zęby. Żydzi? Iu tu Żydów w nasypie tego nikt nie ustali. Nie żywno ich weale. Czasem bardziej ludzki Werkschutz przymykał oczy jak podchodził pod parkany i wtedy rzucał im ludzkie co mieli”.

Tak, Golebiewski rozgadali się na dobre.

„U mnie w budynku było parę posiedzeń PPR, schodził się Biesiaga. Jeź, może pan słyszał. Postanowiliśmy zorganizować ucieczkę Żydów. W niedzielę pilnował ich tylko jeden Werkschutz, zawsze podpiły”.

Współczesność?

„Kochany, mnie się miecza już, co jest współczesne. Zaraz po wojnie partia dała zadanie zorganizować szpital na Chojnach. Jeździłem na rowerze i rekwirowałem szafy, materace, łózka. Później wysłał do pracy z chłopami. Dzieciłiście i przemawiać. Na furcie ktoś przyklejał kartki że mnie zatracą jako agenta kremłowskiego. Jeździłem na rowerze z pistoletem”.

Wyciąga zaświadczenia z podpisem komendanta wojennego, pokazuje. Młody, co mnie przyprowadził też bierze papier w palce. W tym wieku jest się zazwyczaj przed biografiami.

„Człowieku — mówi Golebiewski — w czterdziestym piątym, szóstym myśmy jeszcze nie znali terminu: czyni społeczne.

Ogromny kamień, w którym wyryto uchwałę Rady Narodowej miał swoje drugie przeznaczenie. Młodzi wdrali się i siedzieli, kto dłużej wytrzyma. Inni wyopatrywali w wodzie ryb i strzelali z łuku. Wieczorem szli na zakręt zwany przez nich Złotym Rogiem, choć tam najwięcej biota.

Sto, a może tysiąc razy czytali napis na kamieniu, ale musieli minąć wiele czasu zanim któryś z nich przeczytał go naprawdę. Potem w „Głosie Robotniczym” ukazała się mała notatka: „Młodzież Młynyka postanowiła przepracować w czynie społecznym 1.000 godzin, dla uczczenia XX-lecia Polskiej Ludowej przy budowie ośrodka wypoczynkowo-sportowego”.

Młodych skrzyknął Staniszewski, dwuletniastoletni blondyn. Zeszli się w dwudziestu w świetlicy, tramwajarz Zygmunt Zonko powiedział, żeby się zastanowili. „Nie martw się pan, nie bedziemy tu wywierać ustroju” — odparł na to Szwaczek.

Na zebraniu postanowili założyć grupę działania ZMS. Dzielnicę postawiła warunek — odmalujcie sale. Będąc w stanie wojny z Zonką młodzi chodzili do niego, do bloków, na rozmowy. Potem w świetlicy wymalowali pięćset kubek w rubek jak w mieszkaniu dawnego świetlicowego.

Młodzi dali początek czynom społecznym, które zwróciły na Młynyk uwagę całego miasta. Teraz w niedzielę przyjeżdżają tu pracować ludzie z bloków Dabrowy. Nawet fabryki przysłały trochę swoich ludzi, nawet studenci się szczyli. „Jak myśmy tu pracowali, to



później nawet w telewizji było” — mówi Staniszewski. „Golebiewski też się dał zdjąć na traktorze”.

Młodzi ludzie mają szerokie plany. W związku ze świetlicą i w związku z pracą przy ośrodku. Na razie zakopają się w przeszkodach biurokratycznych — organizacyjnych. Maja wiele zapalu i żadnych doświadczeń. Konkret: to rozwalenie murku ogradzającego teren pod ośrodek, dzień mozołnej pracy.

Młodzi ludzie są przed biografiami. Ta ballada? Wiele w niej przesady. Na przykład Kaśka tylko w piosenkę siedział w mamrze, chłopak daje się lubić, chociaż ma wyskokli. Nie stawiał się do rozgrywek nucharowych dzielnic, chociaż go zgłosili. Potem przespał i przebaczyli, bo co było robić. Staniszewski pracuje i chodzi do szkoły. Co mu się wyroło w pamięć? „Niech się pan nie śmieje. Kiedy w domu były myszy, pożyczylem wiatrówek i ustrzeliłem dwie, jedna no drugiej”.

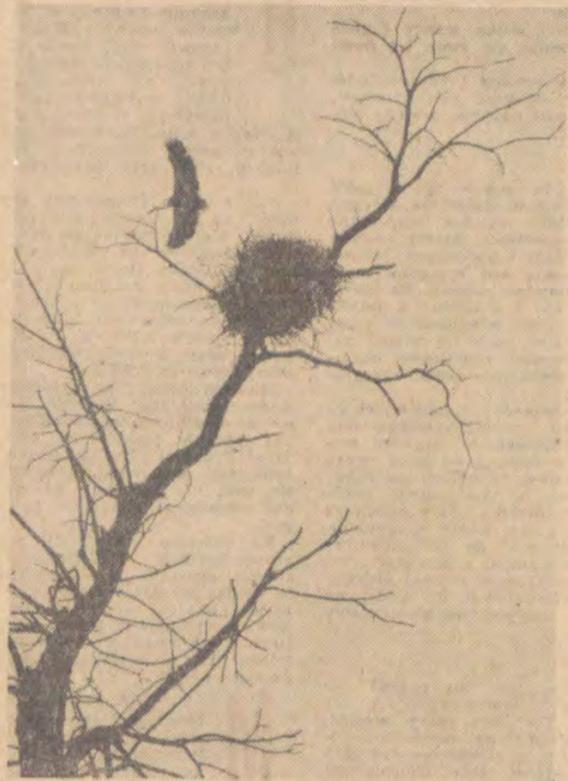
Wszystko? Waha się.

„Napisałem wiersz „Ludzie i myszy”, ale już zapomniałem”.

Tak, młodzi ludzie mają kłopoty z biografiami, mało faktów. Myszy urastają do potęgi entej. Teraz odkad objeli świetlicę w posiadanie nawet nie widać tego, że młodzi są w mniejszości. Pełno ich przy pingpongu na werandzie, albo w salce, gdzie wywiesili napis NIE PALIC i przestraszają jak prawa.

Przez te świetlice Młynyk wygląda młodziej niż wczoraj czy przedwczoraj. Ktoś powiedział: „Świetlice trzeba zamknąć”. A no, niech się ktoś ośmieli ją zamknąć. Zobaczymy.

Młodzi mogą nie martwić się o fakty do biografii. O fakty indywidualne. Świetlica i bunt młodych to fakty społeczne.



Jan BABIŃSKI **PROTOTYP LEŻY pod ŁODZIĄ**

Było już późno, więc agronom skracał swój wykład, kondensował, w końcu urwał na dobre i zapytał: — Są jakies pytania?

Z ławki podniósł się chłopak, przebywał w Wiskitnie, zobaczył domki, bardzo ładne domki. Spółdzielcze. Widocznie nieźle się tam ludziom żyje, skoro ich stać na takie domki. Usiadł, jego koleśdzy zastężyli w oczekiwaniu. Pojeśli od razu, że Wiskitno to haczyk, nie więcej. Czy inżynier uchwycił sens pytania? Jeśli uchwyci, będzie mówił o przyszłości wsi w ogóle — spółdzielnie to wędka, nie więcej. Pretekst.

Kraj jest w ruchu, wszystko się zmienia, czy wobec

tego kształt wsi pozostanie ten sam?

Chłopcy wkrótce dorosną, przejmą berło po ojcach, na co mają liczyć? Chęć mieć pewność co do tego, bo nikt nie lubi grać w ciemno, gdy stawka jest ojowska ziemia. Przez chwilę mogło się zdawać, że inżynier jest zaskoczony. Wykład dotyczący chowu mlecznika, a tu masz, pytanie padło z zupełnie innej strony. Agronom czuł na sobie spojrzenie trzydziestu par oczu. Słuchajcie chłopcy, czy wszystko ma zostać tak, jak jest przez długie, długie lata?

Wspaniale, a potem co? Popędzimy do przodu na „kółkach rolniczych”, wejździemy na trakt pegeeryza-

cji, planów gromadzkich, kontraktacji wszystkiego co rośnie, czy może zawrócimy do spółdzielni? Słuchajcie chłopcy, cel jest znany, drogi do niego różne. Którą wybierzesz? Czas jest mędrcom, czas pokaże, który trakt najszerszy, najbardziej nam swojski, choć być może, weale nie najkrótszy.

Inżynier mówi, chłopcy siedzą i słuchają.

Od razu na pierwszych lekcjach złapali byka za rogę. Tak powinno być. Młodzież jest rogata, nigdy nie była inna, ani nie będzie. Nic w tym złego, że chłopcy pytają. Gorzej, gdyby przeżuwal w sobie i chodzili z kompleksami. Są uczniami Szkoły Przynosiobienia Rolniczego, mają prawo wiedzieć, co ich czeka — gdzie cel, gdzie przystanek, w którym miejscu zakręć i drogowskaz. Nauka w szkole trwa dwa lata. Zimą wykłady, po kilka godzin dziennie. Latem polećka doświadczalna. Zimą teoria, latem praktyka. Te szkoły każdemu otwarte, wchodzi, kto ma ochotę.

Utworzenie tych szkół było decyzją tyłuż dalekowzroczną, co pałacą. Chłopiec wychodził z wieku szkolnego i co miał robić dalej? Pustka? Czy w dalszym ciągu pętanie się za krowim ogonem? Pewnie,

że część młodzieży kierowała się do szkół w miastach — ta zdolniejsza część. Ojciec ustalał, który z synów szedł do miasta, który szedł do brony. Na wsi zostawał syn najmłodszy, wysyłano go w pole, żeby tam lechtał konia lejca mi po bokach. To tradycja, sięgająca początków krakowskiej „Alma Mater”. Zdolni odpływali, mniej wydatni zostawali na wsi.

Do pluga nie trzeba geniuszy, kawał zdrowego chłopca i para mocnych koni starczą od nadto.

Selekcja negatywna? Raczej tak. Czy jednak to, że i dziś jeszcze chłopca można wyłowić z łatwością w najgęstszym tłumie na Piotrkowskiej jest wynikiem tej selekcji? Raczej nie. Sprawa jest bardziej złożona. To prawda, że chłop ma ruchy nieporadne, ciężkie, kanciaste, że rozgląda się otwiera oczy. Ale otwiera dlatego, że jest zdumiony mrowiem silnych mężczyzn, którzy w samo południe, gdy słońce wysoko, nie nie robią, tylko chodzą po ulicy. Rzecz to wprost nieporządkiem.

Nieporozumienie? Dla nas „mieszczuchów” oczywiście, ale nie dla chłopca. Chłop? Wiadomo — ledwo czyta i pisze... Znowu nieporozumienie tyle, że po tej drugiej, miejskiej stronie. Inna kwestia, że te stare wyobrażenia z wolną pękają pod naporem rzeczywistości. Dochodzi do głosu przeświadczenie, że współczesny rolnik musi znać się na wszystkim. Na silniku spalinowym i herbicydach, na biologii i ekonomice. Przeholowałem? Absolutnie, iluż chłopów zapisuje w brulionie każdy wydatek, każdy przychód. Kalkulują, obliczają, prowadzą rachunek ekonomiczny, jak księgowi w fabryce. Słowo rolnik to również określenie zawodu.

I to trudnego zawodu, który stawia przed adeptem większe wymagania, niż to się wydaje pięknoduchom, znającym chłopca z rysunków Norblina. Rolnik to zawód, który może dziś wykonywać człowiek nie tylko o złotych, pracowitych rękach, ale też o złotej głowie. To przekonanie toruje sobie drogę. Na ten zwrot w świadomości, czy też odczuciu, podziałał cały zespół przyczyn.

Dziedziczyć gospodarstwo rolne może dziś jedynie osoba o pełnych kwalifikacjach. Po drugie, błyskotliwe kariery Józków i Gabrielów odeszły w krańce mglistych wspomnień. Trzeba wiele dziś umieć, by otworzyć sobie bramy wielkich miast. Tertio, po co przedzierać się na krzesła w biurach, skoro mił jęzomością z tęczką, beretem i delegacją przygasi, zbladzi i przysną na zawsze. Wiemy, jęzomość cienko przedzie, choć nadbrania miła. Tęczka w nadbrania papierkami, owszem, ale nie portfel. Nawet tytuł magistrza przestał na kimkolwiek robić wrażenie. Czy to mało magistrów? Gdzie spojrzeć magister za biurkiem, albo dwóch magistrów. Co innego inżynier, zwłaszcza taki, który przydziela buhajki zarodowe. Mieć dobry fach w ręku — to zagadnienie. Takim

fachem staje się zawód rolnika. Dlatego szkoła w Kazimierzu, po raz pierwszy od lat, ma komplet uczniów. Dlatego siwawy rolnik w Krzętowie nie mrugnął okiem, gdy mu syn pokazał zegarek. Należało się. Czyż to nie chłopak zebrał 500 kwintal marchwi z polećka w przeliczeniu na hektar? A jeszcze rok temu ludzie boki zrywali, kiedy syn zaczynał z marchwią. Już boków nie zrywają, złożyli się na zegarek dla syna od rady pedagogicznej.

Albo Czarnocin, gromada jakiej szukać. Nie jestem pewny, czy jest kilka podobnych w całym kraju. W tej gromadzie otwarto 3 szkoły rolnicze. Fakt nabiera wymowy, gdy go zestawisz z innym. Z tym, że w województwie działa 190 szkół, że w większości gromad wciąż jeszcze nie ma ani jednej takiej szkoły. W Czarnocinie jest ich trzy — jedna z nich w Biskupiej Woli. To wyjątko wa wieś. Utań się poglądu, że kto „liznie” technikum rolnicze, zaraz pcha się na posadę agronoma w mieście powiatowym.

W Biskupiej Woli żyje i uprawia rolę kilkunastu rolników, którzy „liznęli” technikum, wrócili na wieś, do pluga. Jak oni gospodarzą, jak całą wieś gospodarzy. Średnie plony zbóż przewyższają 20 kwintal z hektara. Średni udój mleka od krowy w skali rocznej przekracza 3 tysiące litrów. Powtarzam, średni, odnoszący się nie do kilku wybranych zagród, odnoszący się do wsi jako całości.

Biskupia Wola wdrapała się na poziom Dani w produkcji mleka, na poziom NRD w produkcji zbóż. Nic nie dodam o autach w Czarnocinie, telewizorach, wodociągach, choć mógłbym, bo widziałem na własne oczy. Zawsze z tego wynika galimatias, gdy ktoś usiłuje brać skutek za przyczynę.

Stać się cud pewnego razu? Cudu nie ma, jest natomiast zrozumienie dla rolniczości fachu. W Czarnocinie, Biskupiej Woli ludzie, albo już pokończyli szkoły, bądź już kończą. Prawie wszyscy przysiedli faldów i uczy się po nocach. Młodzieniec, który się nie kształcił, odpycha drabnie przed nim stojącą, jest dziwołgiem, kimś, kogo nikt poważnie nie bierze, komu nikt nie powierzy ani córki, ani majątku. Pewnie, że i w Biskupiej Woli nie brak próżniaków, dla których zawsze święto. Wysądzą ziemniaki w polu i powiedzą — poczekamy, aż

urośnie... I będą czekać. Przed chałupą na ławie. Chłopcy z Kalina zastanawiali się, jaka będzie polska wieś przyszłości.

To wieś ludzi fachowych, znających swoją robotę. Biskupia Wola jest prototypem takiej wioski. Tylko go powielać, niczego nam więcej nie trzeba. Reakcja łańcuszkowa zaczęła się w 1957 roku. Powstało wtedy w województwie łódzkim 7 pierwszych Szkół Przynosiobienia Rolniczego. Dziś jest 190 takich szkół. Ile ich będzie za lat kilka? W pierwszych klasach zasiadło w tym roku 4.200 uczniów, więcej niż rok temu, kilkakrotnie więcej niż 3 lata temu. Ale wciąż za mało, jak na potrzeby. W kuratorium dowiedziałem się, że tylko 20 procent młodzieży wiejskiej trafia do tych szkół. Przybywa nam szkół, to prawda, lecz przybywa za wolno. Czy nie dążyć się tego procesu przyspieszyć? Nic się tak nie opłaca, jak inwestycja w ludzki mózg.

Szkolom rolniczym nie trzeba już reklamowych wywieszek. Przyjęły się, zapuściły korzenie. Dały już nawet pierwszy owoc. Uczniowie tych szkół nie kroją dla siebie wygórowanej miary. Pragną zostać dobrymi rolnikami, a nie fuszerami. Zdają sobie po prostu sprawę, że to nie zły los sypcha często ich ojców na margines. To brak wiedzy pozbawia dużą część rolników starszego pokolenia możliwości wykorzystania roli z największym dla siebie pożytkiem. Zasiadać wszystko można, jakże łatwo jednak zebrać potem kłopot, młot i kłos plonny. Wariantów w polu nieskończona ilość, jak na szachownicy, można tak, można siak.

Już samo otwarcie partii — wiosenny siew, rozstrzyga o końcowym rezultacie.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki start. Bez szkoły nie ma tego startu, są dolki i dyskwalifikacja. Pracowitość i kofskie zdrowie to już za mało. Nie pomoże traktor, kombajn, akarycydy. Trzeba wiedzieć jak. Kto tego nie wie odpada. Ponosi klęskę, życiową klęskę.

Worek problemów jest do rozwiązania, lecz problemem numer jeden polskiej wsi jest wyjście poza zakres tradycyjnej pseudowiedzy, dziedziczonej przez syna wraz z ojcową gospodarką. On ma dużą szkołę, to więcej dziś warte, niż — on ma dużo morgów. W dobie, gdy świat pędzi na złamanie karku, podstawą życiowego sukcesu jest szybki



„Simon Bolivar” — taką nazwę nosi plan olbrzymiej autostrady, która w 1975 roku połączy Peru i Chile z Brazylią i Argentyną. Koszt jej budowy określa suma 216 milionów dolarów. W marcu br. z lotniska w Limie wyruszyła ekspedycja złożona z 36 specjalistów: kartografów, geologów, geografów, ekonomistów itp. Czekają ich pionierska praca rozpracowania w terenie planu autostrady. Nikt nie przeczuwał jak tragiczne będą losy wyprawy.

WYRWANI Z ZIELONEGO PIEKŁA

Iquitos to ostatni w Peru bastion cywilizacji — 2 km za miastem na plaży grzeją się w słońcu krokodyle; a tropikalna dżungla otwiera swe tajemnicze wrota. Ekspedycja dowodził pułkownik Flores. Młody Metys Pablo Garcia był przewodnikiem. Pablo prowadził niejedną już wyprawę, której powrót był zawsze szczęśliwy. Znał dobrze zwyczaje Indian, i wiele indyjskich narzeczy.

— To dobrzy ludzie. Nie to, co



andyjscy górale, którzy mieli więcej styczności z białymi — mówił zawsze Pablo.

Idąc za radą Pabla, członkowie wyprawy zabrali z sobą tylko kilka strzelb i niewielką ilość naboju. Radiostację nadawczą obsługiwał inny Metys, przyjaciel Pabla, Toribio Delafuentes.

Kto nie zna peruwiańskiej dżun-

gli nie jest w stanie wyobrazić sobie, jakim piekłem może być ona dla białego człowieka. Padał deszcz. W gliniastym, rozmożonym gruncie grzeźły nogi. Wilgotny żar tronił tamował oddech. Ludzie pułkownika Floresa posuwali się bardzo wolno.

Każdego wieczoru Pablo wybierał miejsce postoju, a wówczas w radiową muzykę z dalekiej Limy wdierały się ponure głosy dżungli... Tak upłynęło kilka dni.

W myśl zawartego porozumienia codziennie podawano przez radio Indianom miejsce noclegu. Ale nikt z 36 ludzi nie domyślał się nawet, że Indianie towarzyszą im krok w krok i jak niewidzialne widma otaczają wyprawę. Wśród Indian Mayoruna znajdowało się kilku białych przemysłowców kokainy, którym nie w smak była budowa autostrady. O tych sprawach nikt z ekspedycji nie wiedział.

Zbliżano się do Cocameros, a Mayoruna wciąż nie pojawiał się. Nie przybył dotąd ich wysłannik. Dlaczego? To wszystko niepokoiło Pabla.

„10 marca — opowiadał potem pułkownik Flores — nawiązałem radiowy kontakt z bazą w Iquitos. Prosiłem o samolot, który by zorientował nas, gdzie mogą znajdować się Indianie Mayoruna”.

Lotnik krążył nad puszcza, ale nie zauważył nigdzie ich śladu.

Tego dnia nocą mały wrzeszczał przeraźliwie, a niezliczone stada papug krążyły nad nami — mówił dalej pułkownik. — Zrozumielśmy wówczas, że tuż koło nas muszą być Indianie.

„12 marca dotarliśmy wreszcie do Cocameros. Na polanie stały 20 opuszczone indyjskie chaty, wokół szumiała puszcza. Na jej brzegu wznosił się jakiś dziwny znak. Na jego widok Pablo zbladł — to był indyjski znak wojenny.

Wielka czarno pomalowana czaszka dzika i wbite w nią dwie strzały. „Jeszcze” wrogami, „zniszczymy was” taki był sens znaku.

„Dlaczego Indianie — zdradzili?... Pablo nie mógł zrozumieć. „Prostakalna noc zapada nagle. Z jej nastaniem milknie życie w dżungli. Mrok gestniał, ale krzyk ptaków nie ustawał. Było w tych głosach coś przerażającego.

Rozniecił się ogień, a Pablo ruszył w głąb puszczy. Widzieliśmy go jak szedł wciągnawszy przed siebie ręce. Chciał aby Indianie widzieli, że jest bezbronny. Idąc wołał: Irabu pue! Irabu pue! — co znaczy „dobrzy ludzie”.

Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy trafiła go strzała, jedna, jedyna strzała. Padł wołając „nie strzelajcie!”.

Niestety nikt go nie usłyszał. Ludzie zaczęli strzelać na oślep, strzelali do niewidocznego w czerni nocy wroga”.

„O świcie — ciągnie dalej Flores — ujrzelśmy na polanie trupy Indian. Walka skończyła się, zaczęło się coś znacznie gorszego — oblężenie. Wprawdzie Mayoruna zniknęli, ale wciąż czuliśmy ich obecność wokół chaty”.

W Iquitos nieliczni tylko znali dramat ludzi uwięzionych w gąszczu tropikalnego lasu. Ich położenie stawało się z dnia na dzień coraz gorsze. Niespodziewany cyklon przerwał łączność między Limą, a rejonem środkowego Pacyfiku. Dopiero następnego dnia w południe przyszła wiadomość z Iquitos. Polecano czekać cierpliwie, aż łączność z Limą zostanie naprawiona.

„Ale my posyłałymi bez przerwy w eter nasz sygnał SOS — mówi Flores. — W niedzielę rano, a był to już trzeci dzień oblężenia, zginął od zatrutej strzały Toribio Delafuentes, przyjaciel Pabla. Tego dnia Indianie wzmożli swoje ataki. Pięć strzał przeszło ściany chaty. Pięciu ludzi zostało rannych. Znowu atakują. Tym razem Mayoruna zbliżają się ku nam. Mv strzelamy. Pada kilku Indian, Ale nas jest tylko dziesięciu, a Indian —

kilkuset. Ataki Indian trwały tego dnia do późnego wieczora. Z nastaniem nocy Mayoruna wycofali się w dżunglę, unosząc z sobą rannych i zabitych”.

Poniedziałek rano, Iquitos powiadamia, że w kierunku Cocameros wysłany został oddział żołnierzy, ale dotrze na miejsce dopiero 28 lub 29 marca. Oblężeni poczuli tracić resztki nadziei.

„Tymczasem jakiś radioamator złapał nasz sygnał SOS. Natychmiast powiadomił o tym generała. Z Balboa dowództwo lotniczej bazy amerykańskiej ofiarowało swą pomoc, która jednak wyruszyć mogła dopiero 21 marca. W kierunku dżungli wyleciały dwa samoloty typu Atlas, a na ich pokładzie kilka helikopterów, broń, lekarstwa, żywność”.

„Ładowanie w dżungli to sprawa niełatwa. Toteż choć pilot nadleciał nad wskazane przez nas miejsce nie mógł lądować”.

„22 marca odebraliśmy komunikat radiowy. Uspokajano nas, że samoloty są już na naszym terenie, a oddział żołnierzy maszeruje w naszym kierunku. Rzeczywiście samoloty nadleciały. Widząc że Indianie zaczęli głośno kłać po hiszpańsku. Jeden samolot zniżył się i zrzucił nam żywność i naboje”.

Znowu nastąpiła noc — a po niej nowy dzień.

Tymczasem sytuacja oblężonych pogorszyła się. Radio umilkło a nikt nie umiał go naprawić.

„Jakże podać lotnikowi miejsce lądowania?... może ślup dymu zorientuje go. Ale to samo uczynili Indianie rozpalając wielkie ognisko i myląc sygnały.

Wtorek 24 marca. Znowu zło wieści. Oddział żołnierzy idący na pomoc zabił. Przybędą z trzydniowym opóźnieniem.

„Tym razem byliśmy u kresu sił — mówi pułkownik Flores. Chorz mającymi. Brakowało lekarstw, wody.

I właśnie wtedy, gdy wszystko już zdawało się stracone usłyszeliśmy my okrzyki: Hermanos! Viva el Peru!

Na polanie żołnierze, a na ich czele porucznik Rodriguez.

Wiele jednak jesteśmy uratowani. Gdyby pomoc spóźniła się o parę godzin zginęlibyśmy wszyscy od zatrutych indyjskich strzał.



Dwadzieścia cztery godziny wypoczynku i znowu w drogę, tym razem powrotną. Helikoptery zabrały rannych. Ich stan był bardzo ciężki. Czy przeżyją?... nie wiadomo!

Mayoruna ujrawszy helikoptery włązili na drzewa, krzyczeli przeraźliwie kryjąc się w gęstwinie liści.

W ciągu następnego tygodnia wszystkie członkowie ekspedycji znaleźli się na pokładzie peruwiańskiego statku „Amazonka”. Brakowało tylko dwóch Metysów. Może oni jedni umieliby wyjaśnić dlaczego Indianie Mayoruna zdradzili!

Pablo Garcia... Toribio Delafuentes... pozostał po nich w gąszczu peruwiańskiej dżungli drzwiany krzyż.

oprac. MARIA TYMOWSKA



Od

„Kubusia Puchatka” do

„Ludzi bezdomnych”

Nie ma w literaturze gatunku, którego specyfika rozstrzygałaby automatycznie o jego przynależności do widowisk typu telewizyjnego. Są natomiast widowiska telewizyjne, które wymagają dla swego istnienia bezustannego wsparcia ze strony literatury. Do takich widowisk zaliczają się w pierwszym rzędzie wszystkie audycje o charakterze teatralnym. I stosunek między teatrem telewizyjnym a literaturą jest najogólniej biorąc taki, jak między teatrem w ogóle a literaturą, lub między filmem a literaturą. Tyle tylko, że teatr od początku swych dzieł wykorzystywał stworzony dla siebie dramat, film również prokuruje z wolną od reżna, sobie tylko użyteczną literaturę, która z trudem może być wykorzystywana w innych filmowych celach. Jeśli zaś słyszy się z rzadka sformułowanie „dramat telewizyjny”, to sformułowanie to nie desygnuje zjawiska, które byłoby specyficzne jedynie dla telewizji. Literatury telewizyjnej nie ma. W tej sytuacji twórców przedstawień teatralnych powielanych na wielu ekranach nie pozostaje nic więcej poza speraniem wśród nazwisk i tytułów, polskich i obcojęzycznych, poza wyszukiwaniem produktów literackich, o których nikt nie myślał, że mogą być odbierane przez milionowe audytoria. Na całe szczęście napisano dosyć dramatów, by zaspokoić nawet tak wymagający ilościowo teatr jakim jest teatr telewizji. Wystarczyłoby ich nawet, gdyby telewizja zdwoiła ilość swoich teatralnych premier. Praktycznie niemożliwe wydaje się wyczerpanie ciągu dramatycznego od starożytności do współczesności. Tym bardziej niemożliwe, że telewizja usunie starych, by cięgu tego zbytnio nie przetrzebić. Takie sprostowanie nasuwa się jako oczywiste, gdy spojrzeć uważniej na listę tytułów obejmujących przedstawienia teatralne małego ekranu. Równie często pojawiają się tam dramaty, więc tekst jakby gotowy do zrealizowania przed kamerą, jak inne teksty, których dostosowanie do wymogów kamery jest sprawą niewątpliwie trudną. Dlaczego telewizja tak często wykracza poza rodzaj literacki, który jest jej właściwy z natury, dlaczego tak często adaptuje dla swoich potrzeb utwory, których twórcom nie śniło się, że mogą być pokazane?

Nie jest to chyba wynik dbałości o doznania estetyczne widza, o rozszerzenie kręgu tematycznego jaki przynosi ze sobą dramat. Jest to raczej wynik konkretnego ograniczenia, na jakie zdana jest telewizja sprządzająca się przeciw do określonego zespołu środków przekazywania obrazu i dźwięku, zespołu różnego od tego, jakim dysponuje teatr.

Wydaje się, że telewizji najbliższa jest naturalistyczna konwencja dramatyczna. Ona właśnie najłatwiej i najsprawniej może być przekazana przy pomocy kamery i najlepiej sprawdza się jako efekt na ekranie. Nie ma chyba wątpliwości co do tego, że „Zabusia” zawsze będzie bardziej udanym widowiskiem telewizyjnym niż „Król Lear”. A ponieważ w literaturze więcej jest teatru nienuaturalistycznego niż naturalistycznego tendencja do poszukiwań repertuarowych poza dramatem wydaje się całkiem zrozumiała. Jest ona po prostu próbą wypełnienia luk tworzącej się po odrzuceniu przez telewizję wszystkiego, czego nie można pokazać, jak w teatrze, w skrócie, w kondensacji, deformacji.

W podobnej sytuacji zresztą znalazł się film, operujący w założeniu, tak jak telewizja, werystyczną techniką pokazywania. Ale film, szybko zrozumiawszy swoje ograniczenia postanowił je wykorzystywać jako atut. Stworzył sobie odrębną literaturę, która umiejętnie wygrała specyfikę filmowego sposobu oglądania świata. Scenariusz filmowy, dostosowany tylko do celów kina stał się nowym gatunkiem literackim. Telewizja ciągle trwa w pozycji pośredniej między teatrem i kinem. Stąd zdana jest, przynajmniej na razie, nie jeszcze adaptacji powieści, opowiadań, pamiętników. Z tego samego względu zdana jest w dziedzinie adaptacji na wiele niepowodzeń. Każdy utwór posługujący się narracją przelożony na język obrazów, traci właściwy sobie charakter i traci swoją wartość. Wyjątek stanowi może tylko proza przygodowa. Łatwo uwierzyć, że na ekranie dobrze będzie wyglądał „Hrabia Monte Christo”, o wiele trudniej ufać filmowej wersji „Moby Dicka”. Po prostu to, co w prozie jest najczęściej pretekstem — fabuła, w telewizyjnym wydaniu staje się najistotniejsze. Kiedy pretekst staje się istotą rzeczy łatwo o potknięcia.

MIKS

WIKTOR WOROSZYLSKI
**Nasza
młodość**

Dalszy ciąg ze str. 1

— albo i teraz, oko w oko z robotniczą ręką i bezruchem zdewastowanych fabryk — albo wreszcie później, kiedy, wplątanych w wielkie gry polityczne, stracono ich w ciągu jednej nocy na dno upokorzenia i bezsilności, bądź windowano na szczyty władzy — w każdej z tych sytuacji wyższą cenę placili od nas, którzy dopiero oddawaliśmy się pod ich rozkazy, nieopierzeni, naiwni, czysti, zbyt młodzi po prostu, aby nasze zaangażowanie mogło się poważnie liczyć w rzeczonym historycznym rachunku.

Od nich zależało nieporównanie więcej, niż od nas.
Ale właśnie to, że byliśmy młodzi — tak, właśnie to było naszym szczęściem i przywilejem.

Przed wojną było nasze wczesne dzieciństwo, takie czy inne, zwyczajne — podczas wojny okres, który jeszcze mógł być dzieciństwem, ale już nim nie był — lub inaczej: był dzieciństwem złym, wykrzywionym, okaleczonym — widzieliśmy gwałt i śmierć — baliśmy się śmierci jak dorośli — jak dorośli musieliśmy walczyć o egzystencję — nie chodziliśmy do szkół, ale za to poznawaliśmy życie od strony, od której bodajbyśmy nigdy nie poznali — a w każdym razie poznawaliśmy je za wcześnie, żeby nie przytoczyło nas swym ciężarem — patrząc na nas, dorośli mówili, że jesteśmy przedwcześnie dojrzały — ale to też były pozory — nie byliśmy dojrzały, byliśmy wbrew wszystkiemu naiwni i spragnieni uczucia — śmiały i zaradni na zewnątrz, w głębi duszy wcale nie radziłyśmy sobie z tym twardym i podstępny światem, który nas więził — i jedyne, co przychodziło nam może nawet łatwiej od starszych, to była nienawiść, połączona z pogardą.

Teraz, kiedy to piszę, nienawiść brzmi abstrakcyjnie — już w parę lat po wojnie, kiedy układałem patetyczne wiersze o nienawiści, była ona uczuciem wyrozumowanym, do którego zmuszałem się przez jakąś nadświadomość ideologiczną i może obawę przed sprzeniewierzeniem się swemu nienawidzającemu dzieciństwu — żałuję, że pisałem te puste wewnętrznie wiersze i błogosławię właściwość natury ludzkiej, która najsprawiedliwszej nawet nienawiści każe z czasem wygasnąć — ale nie mogę rzucić kamieniem w naszą ówczesną nienawiść, najprawdziwszą, zdolną do zabijania (co nie wszystkim z nas zostało też oszczędzone).

Nienawidziłyśmy porządku świata, w którym przeczywaliśmy ten zły okres między dzieciństwem a młodością — gardziłyśmy starszym pokoleniem, które nie zdołało światu temu zapobiec — i tęskniłyśmy za wielkim zadośćuczynieniem, za nowym światem, budowanym na gruzach, światem nie tylko dobrym i sprawiedliwym, ale silnym, atakującym, dławiącym zło, bezsilnym.

Laknęliśmy wielkiego podziału, w którym moglibyśmy stanąć po dobrej stronie.

Ukochaną książką, która jakimś trafem wpadła mi do rąk w tych latach i z którą już się nie rozstawałem do końca wojny — była powieść Jasińskiego „Pałec Paryż”.

Wcieliła się w nią moja nienawiść i moja wiara.

„Paryż” musiał spłonąć, a na jego zgłiszczach my, wyzwoleni więźniowie, mieliśmy wybudować nowe życie: komunizm.

Drogi były różne, losy niejednakowe, niektórzy z nas (ci o parę lat starsi) zdążyli już przeżyć pierwsze zaangażowania innego rodzaju — udział w narodowej konspiracji, religie — i pierwsze rozczarowania — nie moją rzeczą jest pisanie o tym, o co otarłem się w mniejszym stopniu od innych — ale w tych miesiącach dogorywającej wojny i wyzwolenia kraju — w miesiącach polskiej rewolucji — stan naszych młodych umysłów był podobny — chociaż tutaj znów

zastrzeżenie, że ogarniam pewną grupę, odłam, bo ja wiem, pewien typ, postawę, konstrukcję psychiczną — nie środowisko, ono najmniej chyba determinowało nasz wybór, nawet nie charakter wcześniejszych zaangażowań (łatwo stwierdzić, jak wielu było wśród nas choćby wczorajskich akowców) — ale jednak pewien tylko nurt w pokoleniu — bo bywało i całkiem inaczej — z tą poprawką zatem, że chodzi o jakichś nas, nie zaś, jak napisałem przedtem: w ogóle nas, pokolenie — byliśmy wówczas, skądkolwiek każdy przychodził, podobni do siebie — i jednakowym gestem wyboru żegnaliśmy swoje poharatane dzieciństwo, i witaliśmy młodość.

Może i to jeszcze niecała prawda. W gruncie rzeczy i my, i ci nasi rówieśnicy, którzy dobro widzieli po przeciwniej stronie, a zło po naszej — mieliśmy ze sobą więcej wspólnego, niż potrafilibyśmy sobie wtedy uprzytomnić. Łączyła nas niechęć do vegetacji, życia z dnia na dzień, bez celu i ruchu, życia ahistorycznego — żądaliśmy, żeby codziennie coś się działo, żeby życie miało kierunek, żeby historia, przez nas popychana, odwdzięczała się uczestnikom swoim widocznymi triumfami sprawy — i za to, tak nienawidzący krzywdy, którą znaleźmy dotąd, przytakiśmy oczy na zdarzającą się nową krzywdę, na nowe głupstwo — wybaczyliśmy je, uznaliśmy za nieważne wobec wspaniałego marszu historii ku wyśnionej przez nas szczęśliwości powszechnej. Tu zakrada się nuta goryczy, ale wtedy gorycz była nam obca — myślę, że nie tylko nam po tej stronie, ale i naszym sobowtórom ze strony przeciwniej — upojeni narkotykiem historii, dumą z naszego udziału w niej, naszego wyboru i aktywności, naszego przeciwstawienia się bierności ojców — żyliśmy, i to było najważniejsze.

Przymierzanie skóry.

Dopasowywanie, wiercenie się w niej, próby wyjścia, odrzucenia, zamieszkania choćby przez chwilę w innej.

Przeżyć nie jedno życie — przeżyć kilka, różnych i niepodobnych.
Czy muszę być tym, kim jestem?



Jeden „ja” idzie na prawo, drugi na lewo

Pójść jednocześnie w obu kierunkach. Czy jestem z góry określony, skazany, naznaczony imieniem, urodzeniem, adresem?

Choć na moment zostać kimś innym. Poczucie stu możliwości, stu wariantów — realnych? fantastycznych? — one gdzieś są, poza mną, ale skoro zrobię ten krok, opuszczę siebie i znajdę się tam, w tym miejscu, w którym mógłby być on — ten, którym byłbym, gdybym nie był mną...

Tęsknota za aktorstwem, za maską, za wcielaniem się w postacie, których inaczej niż od wewnątrz nie sposób poznać. Dziecinne zabawy, na wpół bezinteresowne mistyfikacje, maskarady na jeden wieczór.

Naczępili trójkolorowe kokardki, wyszli na Piotrkowską, gestykulują, gadają nie istniejącym językiem, po polsku ani w żąb.

— To włos — domyśla się ktoś z przechodniów — wywiezieni.

— Si, si, Italiano.

Już pod pachą jakieś młode kobiety, trochę nieufne, ale nie aż tak, żeby się tą nieufnością głośno nie dzielić:

— Czarny dosyć podobny, ale jasny wcale mi nie wygląda.

Niby nic, dalej paplają: Roma, Pittiglii, Avanti.

— Cholera, mój chłop dopiero jutro wyjeżdża, co ja z nim dziś zrobić? Italiano, jutro, kapujesz? Tu, na tym rogu.

— Si, si.

Ale nazajutrz nie przychodzi, bo już nie są Włochami. Kolega gdzieś się zapodział, a nasz bohater został — co za gorzki pomysł — Niemcem. Nie jakimkolwiek, lecz określonym, Willie Schulzem, z całą dokumentacją. Poukladał według dat papiery znalezione w mieszkaniu; obejrzał fotografie niewyraźnego blondyna — odkrył jakieś rysy wspólne ze sobą — i już się wżył w jego sprawę, utożsamiał się z nim, dźwiga jego bagaż, dosyć w gruncie rzeczy banalny, a dla niego w tej chwili niezwykle frapujący,

bo zarazem własny (gra już tę rolę) i niepowszedni (jeszcze jej nie rozegrał). Kierownictwo ma do Schulza pretensje, że nie przyszedł na zbiórki, tłumaczy się zawile, tłumaczenia uznano za niewystarczające, szykuje obszerniejszą epistołę — co będzie, co będzie, jeżeli i teraz nie uwierzą? Kierownictwo prosi o bliższe dane odnośnie narzeczonej Schulza — póki ich nie otrzyma, nie udzieli zezwolenia na ślub. Ale ja ją Kocham! Nie, tego kierownictwo nie zrozumie. Moja wybranka jest wspaniałym typem niemieckiej kobiety, załączam wymiary. Kwestia ta jednak nie zostanie rozstrzygnięta, bo na Schulza naraz wołają: — Witke! — i po tym zakleciu Schulz znikną, z urwanym w tak ważnym momencie losem, zaś aktor, spędzony ze sceny, której zresztą nikt nie zauważył, wraca do rodzinnej codzienności, aby tamtej roli nigdy już nie próbować.

Inna transformacja, późniejsza trochę, z rekwyzytem legalnie pobranym, bo to już akcja wyborcza i chłopiec w niej uczestniczy — a do takich czasem strzelają — więc i on ma coś do strzelania — właściwie teraz już nie urzęduje maskarad, tkwi mocno we własnej skórze — ale pewnego razu zaczyna przed kinem pannę o smutnej i brzydkiej twarzy — a kiedy gaśnie światło, ujmując jej palce i kładzie na szorstkiej kolbie nagana.

— Kiedy się spotkamy? — pyta po kinie dziewczyna.

— Nie rozporządzam sobą. Nie wiem, gdzie będę jeszcze tej nocy — deklamuje i zostawia ją z otwartymi ustami.

Może długo będzie wspominała to zetknięcie z romantycznym bojowcem.

Skoro już tak kompromitujemy naszego bohatera, trzeba opowiedzieć i o tych sytuacjach, w których nie potrafił odepchnąć roli, narzuconej sobie przez innych.

— Sprytny — mówi starszy pan, znajomy rodziców — my mamy skrupuły, a ci młodzi, choćby do Lucypera się zapiszą, byle być na wierzchu. Dobrze, ma rację, nie trzeba w nic wierzyć, tylko gadać, co chcą i iść przebojem przez życie.

Chłopiec milczy i uśmiecha się ironicznie — więc starszy pan myśli, że ironia ta dotyczy Lucypera, do którego chłopiec zgłosił akces, żeby być na wierzchu — naprawdę dotyczy starszego pana — ale skoro on może odczytywać ją po swojemu, staje się dwuznaczna — i chłopiec na chwilę zamienia się w tego spryciarza, za jakiego został przyjęty.

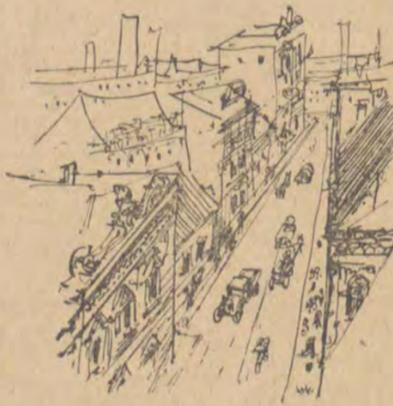
Może chłopcu brak po prostu odwagi cywilnej do przeciwstawienia się czyjejsz zdecydowanej opinii? Nie śmiem twierdzić, że to nie gra roli. Ale dlaczego nie brak mu odwagi w tylu innych sytuacjach, kiedy manifestuje swoją osobność, niezgodę z konwencją otoczenia w sposób może nawet zbyt agresywny, zbyt zawzięty i głośny? Stawia się i w szkole, i — w półtora roku później — na zjeździe piszącej młodzieży, i na uniwersytecie...

Wolno zatem przypuścić, że to nie instynkt przystosowania się wpływa na jego chwilową akceptację wypowiedzi, czyniących go kimś innym — bo jeśli ten instynkt, jak u każdego człowieka, istnieje, to silniejszy od niego jest instynkt sprzeciwu, niezgody, upartego samookreślenia się wbrew otoczeniu — w sytuacji zaś, uprzednio opisana działa znowu potrzeba przynajmniej: a może właśnie tak? może spróbować tej skóry? jak się w niej poczuje?

Nie czuje się w niej dobrze i odrzuca szybciej nawet, niż te, które obierał był dla zabawy.

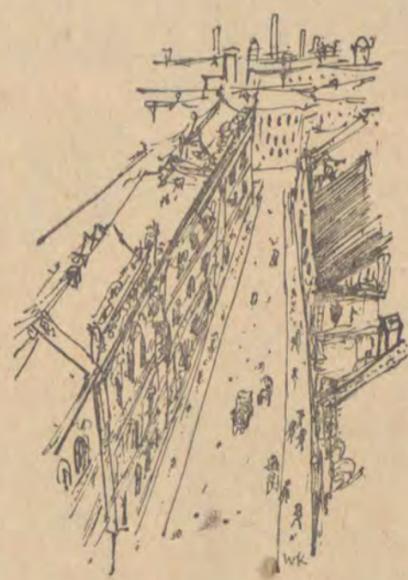
Coraz mocniej siedzi już na nim własna skóra.

Dopasowuje się, opina go ściślej, staje się jedyną możliwością — ale w tej jedy-



ność zaczyna odczuwać bogatszą treść, niż w niedawnej wielości — zaczyna przeżywać swą autentyczność, której już nie zamieni na inną — staje się sobą.

To nie znaczy, że nie będzie się zmieniał — będzie, ale nie odcinając tego, co było przed zmianą — zachowa ciągłość siebie — i ten cykl zmian to już będzie życiorys.



W każdym razie młodzieńczych prób innych zaangażowań — przed zaangażowaniem komunistycznym — a to było zjawiskiem częstym — chłopak nigdy nie uważał za okoliczność obciążającą — i stanowiło to może największą szcerbę w jego ustalającej się sylwetce fanatycznego aktywisty.

Istnieniu tej szcerby zawdzięczał jednak później przyjaźnię, które były jej warstwą.

Wszystko to dzieje się w czasach, gdy noce polskie rozbrzmiewają odgłosem strzałów — a choć wojna skończyła się, nie są to strzały na wiat — rania i zabijają — giną tysiące ludzi — jeśli nawet w samej Łodzi radsza jest ta muzyka — jedździ się przeciw agitacji i w teren, na wieś (zwłaszcza przed referendum i wyborami) — i o śmierć ociera się całkiem realnie.

Jedynie miejsce, gdzie opada napięcie, gdzie człowiek czuje się wśród samych swoich — to mały zadymiony lokal na Roosevelta, gdzie co wtorek odbywają się zebrania organizacji. Nigdy w przeszłości naszemu studentowi nie będą takiej satysfakcji sprawiała zebrania — nie będzie z takim przejęciem słuchał buńczucznych przemówień — z taką ufnością wpatrywał się w twarz towarzyszy — tak przeżywał bliskość z gromadą jednakowo myślących — jak tutaj.

...Walka, front, natarcie, odwrót, zwycięstwo — oto kategorie, w których widzi się rzeczywistość i siebie w niej. W zwycięstwo wierzy się, ale nikomu nie wydaje się ono przesadzone — i w głębi duszy, być może, nikomu się do niego nie śpieszy. Trudno sobie wyobrazić treść życia po ostatecznym zwycięstwie — a obecne życie, które do niego zmierzają, jest jaskrawe, gorące i pełne treści.

Owe to czasy, jak sądzę, i panujące w nich pojęcia (które przecież odzwierciedlały jakąś realną sytuację grupy młodzieży) ukształtowały w nas dwie właściwości psychiczne, które z kolei długo dawały o sobie znać w sytuacjach, mniej do nich przystających: poczucie osamotnienia sprawiedliwych w Sodomie i potrzebę apostołstwa.

Sprawiedliwi w Sodomie — pierwsi chrześcijanie wśród pogan — dumni posiadacze prawdziwej wiary, prawdziwej wiedzy, prawdziwego sensu istnienia — zagrożeni ze wszystkich stron — wystawieni na drwinę, niezrozumienie i niechęć — ale tym bardziej utwierdzający się w swojej słuszności — usiłujący narzucić ją innym — odrzucający racje odmienne — afirmujący swą wiarę i siebie jako jedynych obrońców wiary.

I apostołowie — przeświadczeni, że inni mogą upodobnić się do nich — żarliwie tego pragnący — wyciągający rękę do napatkanych na drodze — szczęśliwi z każdego pozyskanego neofity — ufający neofitom i wdzięczni za przeżycia, związane z rolą ich „ojców chrzestnych” — ceniący sobie „mnożenie szeregów” bardziej niż mnożenie dóbr materialnych i osobistych sukcesów.

Piszę o tym po latach, kiedy postawy takie w moim pokoleniu dawno, jak sądzę, zanikły — i trudno, żebym za nimi tęsknił — a nawet, żebym nie odczuwał rezerwy, kiedy się z nimi czasem w jakiejś postaci (zwłaszcza u ludzi dojrzałych) spotkam. A jednak do owych fanatyków mojej młodości — do których należałem — nie straciłem sentymentu. I myślę, że w tej sytuacji frontowej, którą przeżywaliśmy w moim przejawianych barwach — w pojęciach, które z niej wynikały — w postawach, które ukształtowała — kryje się po części tajemnica naszego przywiązania do wspomnień o całym okresie, wspomnień romantycznych, więc — wbrew późniejszej trzeźwości — pięknych.

Stefan Marczyk (ur. w roku 1924 na Rzeszowszczyźnie). Studiował w Konserwatorium Krakowskim w klasie skrzypiec u prof. Umińskiej i dyrygentury u Artura Malawskiego, gdzie uzyskał dyplom (z odznaczeniem). W latach 1951-53 asystent Witolda Rowickiego Filharmonii Warszawskiej i kierownik Małej Orkiestry Symfonicznej. Od roku 1953 przebywa w Łodzi. Po odejściu Henryka Czyża kierownik artystyczny i dyrektor Państwowej Filharmonii Łódzkiej.



Rozmowa
ze
Stefanem
Marczykiem

ŻYCIE Z MUZYKĄ

ODGŁOSY: „Oto jeden z najciekawszych naszych talentów dyrygenckich... Potrafi nie tylko przekonywać, ale i porywać, nie tylko wsrzasać, ale i wstrząsać... Słuchałem dojrzalego artysty o pięknym, bogatym talencie... Tak kiedyś pisał o panu Jerzy Broszkiewicz. „Chwała jemu i orkiestrze za to wykonanie... Było to wspaniałe muzykowanie” — oto wyjątki z recenzji w niemieckich pismach. A uzbierało się ich sporo, z Polski, Czechosłowacji, Związku Radzieckiego, NRD. Wypada na wstępie zapytać: jaki był początek drogi do tego „wspaniałego muzykowania”, jak to się zaczęło?

S. MARCZYK: O początkach trudno mi mówić, bo może to wyglądać dość eklektycznie — ale zaczęło się naprawdę od skrzypiec wystruganych z gonta. Po pewnym czasie ojciec (nauczyciel), zorientowawszy się, że moje zainteresowanie muzyką nie jest słomianym zapalem zaczął mnie uczyć nut. Od piątej klasy, w zwyczajnej powszechnej szkole uczyłem się gry na skrzypcach i otrzymywałem lekcje muzyki, stojące — jak to dziś pamiętam — na bardzo wysokim poziomie. Czegoś takiego nie stosuje się obecnie w szkołach, a naprawdę wielka szkoda.

ODGŁOSY: Czy już wtedy był pan przekonany, że właśnie muzyka będzie Pańskim zawodem i życiową pasją?

S. MARCZYK: Raczej tak. Chociaż prawdziwy wstrząs przeżyłem — i wtedy pewnie narodziło się niezłomne postanowienie — podczas pewnego recitalu skrzypcowego. Grał wtedy znany arty-

sta Beno Straucher, a jego występ był wielkim dla prowincjonalnego miasta wydarzeniem. Tego wieczoru, nie bacząc na to, że mam trzy dwoje na okres (byłem w trzeciej gimnazjalnej), powiedziałem w domu, że będę skrzypkiem.

ODGŁOSY: No i jak wiemy, skrzypkiem pan nie jest...

S. MARCZYK: Ale czuję się z tym instrumentem bardzo związany. Dyrygowałem kiedyś koncertem, w którym solistami byli obaj Ojstrachowie — Dawid i Igor. Na pierwszej próbie, po wysłuchaniu koncertu, który grał młody Ojstrach Dawid, Ojstrach powiedział do Hodora, naszego koncertmistrza: „A wasz dyrygent to pewnie strunowiec...” Po przerwie spowodowanej okupacją wróciłem do skrzypiec. W czterdziestym czwartym powstał w Rzeszowie teatr — grali w nim Łącz, Machowski, Hanuszkiewicz, Dejmek i wielu innych — a przy teatrze orkiestra symfoniczna, w której grałem na skrzypcach, będąc jednocześnie asystentem dyrygenta.

ODGŁOSY: Od Rzeszowa do Łodzi podróz pozornie niedaleka, trwało to jednak parę lat...

S. MARCZYK: W początkach swojego pobytu w Łodzi wyjechałem do Salzburga, gdzie przez miesiąc uczyłem się u Igora Markewitcha. Było to w roku 1956. Dyplom z podpisem Markewitcha przechowuję do dziś, przypomina mi on ciężkie studia i salzburską głodówkę. Ktoś tam się ponęcił przy wypłaceniu dewiz, skutkiem czego chcąc pójść na koncert musiałem oszczędzać kosztem żołądka. Inna rzecz, że tę

pomyłkę naprawiono, ale już w Polsce dużo później. Zwracano mi te pieniądze przez Bank PEKAO...

ODGŁOSY: A koncerty w Polsce, za granicą i inne muzyczne podróże?

S. MARCZYK: Koncertowałem w kraju dość wiele. Za granicą dyrygowałem w Związku Radzieckim, w Czechosłowacji, dwukrotnie w NRD, w Chinach. Z innych podróży muzycznych muszę wymienić Festiwal Muzyczny w Lucernie i Festiwal im. Sibeliusa w Helsinkach.

ODGŁOSY: Te podróże dały Panu zapewne okazję do poczynienia wielu spostrzeżeń i obserwacji. Jak Pan ocenia na przykład muzykalność polskiej publiczności w porównaniu z publicznością zagraniczną?

S. MARCZYK: Każda publiczność jest w jakiś sposób inna. W Związku Radzieckim przeważa na salach koncertowych młodzież, jest wielu studentów, którzy chodzą na koncerty bardzo regularnie, korzystając z różnego rodzaju abonamentów. W Niemczech zwraca uwagę ogromna popularność opery, na kilka godzin przed spektaklem widać tłumy olbrzymie kolejki do kas teatru. W NRD zresztą popularna jest nie tylko opera, np. Weimar. Miasto liczące 40 tysięcy mieszkańców posiada piękną salę na 1.200 osób. Jest ona zawsze wypełniona do ostatniego miejsca.

Na koncerty przyjeżdżają całe wycieczki z pobliskich miejscowości. Myślę, że wielką rolę w umuzykalnieniu publiczności ma tak w Niemczech popularne „muzykowanie w domu”.

ODGŁOSY: Przytoczone przez Pana fakty niezbyt pochlebnie świadczą o publiczności polskiej...

S. MARCZYK: Tak, ale są i fakty, które mogą ten sąd zmienić. Jednym z nich jest na przykład to, że polska publiczność lubi i ceni muzykę współczesną, czemu się za granicą nie mogą na dziwić, a o czym świadczy choćby popularność „Warszawskiej Jesieni”. Drugi przykład: w Austrii wysłano mnie, kiedy powiedziałem, że gramy u nas dwa koncerty tygodniowo. Dwa koncerty na tydzień mimo całkowitego prawie — w porównaniu z zagranicą — braku informacji i reklamy prasowej. Łódź — jeśli sięgnąć do porównań z resztą kraju — nie ma takich kłopotów z publicznością na imprezach muzycznych jak miasta o większych tradycjach kulturalnych — Kraków czy Poznań.

ODGŁOSY: To rzeczywiście optymistyczne, ale nie dam się przekonać, że nie ma Pan Dyrektora kłopotów z frekwencją. Jak to się dzieje? Przecież już 20 lat prawie trwa akcja umuzykalniania, akcja audycji szkolnych, Filharmonia Łódzka należy zresztą do najbardziej zasłużonych w tej działalności. Czemu więc nie możemy ciągle wychować młodego słuchacza?

S. MARCZYK: Sądzę, że Filharmonia robiła i robi bardzo wiele, aby pozyskać sobie oddanych i wiernych słuchaczy. W najbliższym czasie przystąpimy do innych — poza audycjami szkolnymi — akcji, których celem będzie wychowanie słuchaczy. Będziemy urządzać specjalne koncerty dla najmłodszych dzieci, koncerty dla studentów, zorganizujemy punkty sprzedaży biletów na nasze koncerty w większych miastach województwa. Miejmy nadzieję, że te starania przyniosą w końcu widoczne rezultaty.

ODGŁOSY: Zeszliśmy na tematy bardzo prozaiczne i robocze. Ale skoro już jesteśmy przy planach, pomówmy jeszcze o czystej muzyce. Co chciałby Pan pokazać naszej publiczności?

S. MARCZYK: Oczywiście, bardzo wiele rzeczy — muzykę współczesną, wielką, ogólnosięwiatową muzykę, a w niej moich najulubieńszych kompozytorów — Bartoka i Strawińskiego.

ODGŁOSY: Jest to muzyka dla łodźian bardzo nowoczesna. Gusty zaś łódzkiej publiczności są dość dziwaczne. Ponieważ i ja do tej publiczności należę, mam również dziwny gust. Najbardziej — i trudno mi wytłumaczyć dlaczego — utkwili mi w pamięci koncerty, w którym prowadził Pan Symfonię „Z uderzeniem w kościół” Haydna. Co Pan najbardziej pamięta ze swoich koncertów?

S. MARCZYK: Największe wrażenie zrobił na mnie mój pierwszy koncert, który się odbył w Warszawie. Na widok afisza z moim nazwiskiem robiło mi się miękko w kolanach. Dochodziło do tego, że po próbie muzyki prowadził mnie ulicami specjalnie tam, gdzie na słupach wisiały afisze. Obserwowanie moich reakcji sprawiało mi wiele radości. Zaskakujące były dla mnie reakcje publiczności w Niemczech. W czasie Symfonii Patetycznej Czajkowskiego na sali koncertowej rozległy się szlochy i pociągania nosem. W ten właśnie sposób sentymentalni Niemcy reagują na muzykę.

ODGŁOSY: Recenzje np. z NRD podkreślają jako coś niecodziennego fakt, że dyryguje Pan bez batuty. Myślimy się już do tego przyzwyczaili. Czy jest to istotnie coś dziwnego? Jakże to ma znaczenie?

S. MARCZYK: Ze szkoły „wyszędłem z batutą”. Mam wrażenie, że dyrygowanie z batutą lub bez batuty jest sprawą czysto zwyczajową. Dyrygenci niemieccy dyrygują wyłącznie z batutą. Wielki Stokowski dyryguje bez batuty. U mnie batuta wpływała na uszytywnienie techniki manualnej. Dyryguję od lat bez batuty, ale to nie znaczy, że do niej nie powrócę. Myślę, że do niej nie powrócę. Myślę, że powinno się to stać sprawą naturalną, zależną od dyrygenckiej techniki.

Rozmawiał:

MAREK WAWRZKIEWICZ



XIV. ARMSTRONG MA RACJE

Kończąc skromny cykl artykułów poświęconych historii jazzu, jego przemianom i rozwojowi należałoby odpowiedzieć na pytanie — co dalej? W jakim kierunku pójdą jego dalsze ewolucje, co nowego przyniosą następne lata.

Nielatwo na pytanie to odpowiedzieć już dzisiaj i to nie tylko dlatego, że zawsze trudno znaleźć odpowiedź na pytanie dotyczące przyszłości, ale przede wszystkim dlatego, iż młoda, żywotna muzyka jazzowa jest sztuką niespodziewanych i zaskakujących czasami przemian. Obok kultywowania stworzonych przez historię jazzu form i stylów pojawia się także tendencja do komponowania, muzykowania według zasad muzyki klasycznej, poważnej. Bardzo często też kompozycje Bacha, Beethovena, Strawińskiego i innych stają się tematem muzykowania wybitnych wirtuozów jazzu.

Jazz podaje sobie ręce z arcydziełami światowej literatury stając się często doskonałą oprawą muzyczną takich dzieł, jak: „Nora” Ibsena, „Makbeth” czy „Sonety” Szekspira.

Jazz wkroczył do filmu, znalazł swe miejsce w teatrze, zadomowił się zarówno w salach koncertowych, jak i na estradzie koncertowej.

Podczas festiwalu jazzowego 1956 r. w Newport zorganizowano symposium słynnych specjalistów jazzowych, którzy rozpoczęli dyskusję na temat przyszłości tej muzyki. Po długich obradach głos zabrał Quincy Jones, młody pianista, tancerz i aranżer modern jazzu. „Gdyby taką dyskusję urządzono w 1940 roku — mówił — zanim jeszcze ktokolwiek słyszał Charlie Parkera, wypowiedziano by na niej prawdopodobnie wiele bardzo dźwiwnych poglądów na przyszłość jazzu. A gdyby uczestnicy takiej dyskusji wysłuchali potem zdania Charlie Parkera, wyrażonego w muzycznej formie, cała dyskusja okazałaby się od razu niepotrzebna... Siedźmy tutaj i mówmy o przyszłości jazzu, a może już w przyszłym tygodniu czy roku „zaswinguje” ktoś... kto zagra tak wspaniale, że cały ten symposium okaże się stratą czasu”.

Wydaje się, iż w rozumowaniu Quincy Jonesa jest wiele racji. I dlatego na zakończenie zamieściliśmy kilka wypowiedzi i opinii sławnych muzyków i teoretyków. Niech one pomogą znaleźć odpowiedź na pytanie postawione na wstępie cyklu, a brzmiałyby „co to właściwie jest jazz?”

„Jeśli grasz jazz, to nie kłamiesz, ponieważ grasz tak jak czujesz w swoim sercu”.

Louis Armstrong

„Jazz jest to dyscyplina połączona ze swobodą szczerego wyrażania swoich uczuć. Gdyby jazz nie posiadał dyscypliny stałby się rock and roll'em. Jazz jest połączeniem technicznej wirtuozerii ze szczerością ekspresji”.

Willis Conover

„Jazz jest improwizowana muzyka amerykańska, wymagająca europejskich instrumentów i skupiająca w sobie elementy europejskiej harmoniki, europejsko-afrykańskiej melodyki i afrykańskiej rytmiki”.

Marschall Stearns

„Jazz jest muzyką młodych, stworzoną przez młodych i dla młodych... Nawet wtedy, gdy grają ją stwórcy weterani. Mają oni bowiem młode serca”.

André Hodeir

„Jazz jest jedyną chyba istniejącą dzisiaj formą sztuki, w której można odnieść wolność osobistą bez utraty uczucia wspólnoty”.

Dave Brubeck

„Jazz zwojował świat, jest międzynarodową muzyką XX wieku”.

Yehudi Menuhin

„Jeśli komuś trzeba objaśnić co to jest jazz, ten nigdy go nie zrozumie”.

Louis Armstrong

Komu jak komu, ale Armstrongowi trzeba wierzyć...

ANDRZEJ KROLIROWSKI

SUKCES

A więc wygraliśmy z reprezentacją USA. Wygraliśmy, bo nasi koszykarze byli lepsi. Co prawda tylko tu, w Łodzi. Następnego dnia przegrali. Ale minimalnie, różnicą sześciu punktów. A wygrać z koszykarską reprezentacją USA... Amerykanie na pięciu igrzyskach olimpijskich pięć razy pod rząd zdobywali złoty medal. Mają znakomitą tradycję. I armię, wielką armię koszykarzy. A jednak wygraliśmy.

To musiało się zdarzyć. Wcześniej czy później. Musieliśmy wygrać. Gracze sponsorowani — sponsorowani przez państwo — są lepsi od amatorów. Sponsorowanych z rzadka, od wielkiego dzwonu, przez znacznie skromniejsze instytucje. Udzelnionym koszykarz w USA przestaje być amatorem. Zmienia się w człowieka gry. Jak Chamberlain. Jak Russell. Jak Lucas. Amatorska koszykówka? To, ci którzy nie zostali zawodowcami. Bo grają kieszonko. Bo zawodzi ich inwencja. Mielł niewielką pomysłowość. Ci, którzy nie zostali zawodowcami... I ci, którzy nimi jeszcze zostaną. Nie teraz. Za rok. Może za dwa.

Wygraliśmy. Bo byliśmy lepsi. Czy jednak lepszosc, sama lepszosc wy-

starcza? Czy stanowią dostateczną gwarancję sukcesu? Czy team, który umie więcej, gra szybciej, strzela celniej jest zawsze teamem zwycięskim? Bywa nim. Bywa nim często, ale... Wiemy o tym. Wygrana nie jest funkcją umiejętności. To prawda, umiejętności są rzeczą ważną. Ba, rzeczą podstawową. Tego nie można poddawać w wątpliwość. Tylko że... Można umieć wiele. Więcej niż przeciwnik. Można lepiej niż on panować nad piłką, można mieć kondycję, której on nie ma, i skoczność, zachwycającą, znakomitą skoczność. A mimo to można przegrać. Kilka chwil zbyt wielkiej pewności... I tak przegrywamy. I tak odrobimy zaraz to wszystko, cośmy stracili na początku. Nie ma się czym przejmować. A potem... Potem jest już za późno. Nie starcza siły. I nie starcza czasu. Albo kilka chwil zamętu... Ktoś został kontuzjowany. Zszedł z boiska. Trzeba go zastąpić. Nie wiemy, kto ma to zrobić. Zgubiliśmy się. I oto tracimy kosa pod koszu, czy bramkę po bramce. Przeciwnik wyprzedził. Przeciwnik prowadzi. Zaraz sędzia odgwiżdże koniec meczu. Przegraliśmy. Przegraliśmy, chociaż byliśmy lepsi.

Tak, to przecież oczywiste. O tym wie każdy. Sukces jest sprawą psychologiczną dyspozycji. Często chwilowych, nie zawsze zależnych od gracza,

To przecież kwestia nawyków, czasem odpowiedniej dawki treningu. Nie darmo w roku 1958 na mistrzostwa świata w piłce nożnej wraz z drużyną brazylijską zjechał do Sztokholmu psycholog. Przed każdym meczem podawał graczy odpowiedniemu zestawowi testów. Testy rozstrzygały o tym, kto tego dnia ma grać. Kto lepiej przetrzyma mecz. Nie bardzo wierzę w efektywność testów. A raczej — w krótkoterminowe przewidywanie oparte o test. Zbyt często zawodza. Ale warto brać je pod uwagę. Ale pod uwagę brać je trzeba. To przecież pewniejszy sposób rozpoznania przyszłych doświadczeń niż najznakomitszy nawet intuicja i najwspanialszy nos.

Na sukces pracuje zawodnik. W grach zespołowych na sukces pracuje drużyna. I trener. Na sukces pracują również rzeczy od nich niezależne. Te, które można przewidzieć, przeciw którym można się przygotować, lecz których niepodobna zmienić. Fizykalne determinanty gry. Oczywiście, nie zawsze decydują one z jednakową siłą, i nie w każdej dziedzinie sportu mają tyle samo do powiedzenia. Ale zawsze coś od nich zależy. Od fizykalnego układu w tym właśnie miejscu i w tej właśnie chwili. Od kształtowanej przez przestrzeń gry. Oto oszczędnik na Olimpiadzie. Ma świetne wyniki od wielu lat. Wezoraż rzucał w eliminacjach. Miał najlepszy rzut. Wszyscy widzą w nim mistrza. Ale dziś przy każdym z jego rzutów zrywa się przeciwny wiatr. I mistrz rzuca źle. Rzuca nieudolnie, choć w każdym rzucie wkłada całą swą umiejętność i całą sprawność swego ciała. Tendencyjny to przykład? Tendencyjny, bo wyjątkowy? Bo na boisku, choćby już na boisku dzieje się inaczej? Owszem, tendencyjny. Ale nie tak bardzo jak się wydaje.

Najlepsze drużyny piłkarskie mają kłopoty z reprezentacją Boliwii. U siebie wygrywają bez trudu. Bez większej fetygi. Ale w La Paz, kilka tysięcy metrów ponad poziomem morza... Tam wszystko się zmienia. Tam bez aklimatyzacji — długiej aklimatyzacji trudno jest przez kilkadziesiąt minut biegać z piłką u nogi. Tam gra się nie tylko przeciw drużynie. Gra się przeciw klimatowi. Przeciw osobliwej przestrzeni gry. Fizykalna sytuacja w tym właśnie miejscu i w tej właśnie chwili... Zależna od niej przestrzeń gry... Nie zapominajmy o tym. Myślimy, że sukces jest naszą tylko sprawą. Ze to my — tylko my zwyciężymy. Ze nie nie rozstrzyga o sukcesie prócz nas samych. Lubimy tak myśleć. Wtedy jesteśmy pierwszorzędni. Pierwoszoplanowi, ważni, najważniejsi. To przyjemnie być najważniejszym. To przyjemnie dźwigać sukces na swoich, tylko swoich plecach. Doświadczając radości przywiązania. Bo w gruncie rzeczy... Przyłożyliśmy rękę do sukcesu. Zrobiliśmy to, co do nas należało. Ale sukces? Nie dajmy się ponieść wyobrażeniom. Jakże poehlebnym dla nas samych. To one ścigają, kurczą świat. Czynią go prostym, łatwym. I rozbrajającym. Rozbrajającym w komicznej naiwności.

Punch



Wanda Jakubińska — Marta, Halina Machulska — Katarzyna i Zbigniew Józefowicz — Porfiry.

Leonow, to dramaturg, w którego utworach polaryzacja moralnych postaw doprowadzona została do klasycznej doskonałości. Na „Zamieci” Leonowa byłem dwa tygodnie temu. Ale piszę dopiero dziś, bez zbędnego pośpiechu, widząc przedstawienie z ową dwutygodniową odległością wyraziście: właśnie w perspektywie czasu łatwiej potrafię dokonać selekcji wrażeń, a właściwie ich siły, poddanej próbie pamięci. I rzecz osobliwa: odtwarzając w myślach przedstawienie „Zamieci” dokonuję odkrycia, że to nie główny bohater sztuki Stjepan Syrowarow, ani jego antagonistą, Porfiry, tworzą jej klimat, stanowią o jej zasadniczej koncepcji, lecz postacie dwóch kobiet, dwóch siostr: Marty i Lizawiety. I taka jest wymowa scenicznego sztuki — postacie te nierozdzielnie łączą się dla mnie z indywidualnością dwóch aktorek: Marty — Wandy Jakubińskiej i Lizawiety — Janiny Jabłonowskiej. Gotów jestem nawet twierdzić, że powołanie tych ról tym właśnie aktorkom zdecydowało o powodzeniu całego przedstawienia.

Marta, to typ starej rewolucjonistki, która „polowała na carów”. Straciła wroka, ale katechizm to nie tylko pozwala jej dobrze widzieć przeszłość, ale i uczyła na to, co dzieje się naokoło. Jakubińska rozumie to samą instynktem aktorskim. To dzięki „komentarzowi” jej gry, nasładowanym od wewnątrz każdy jej ruch i każde słowo, „Zamieć”, stanowiąca konglomerat typizowanych wątków, uzyskuje swoją doskonałą spójną całość. Ile mądrej, wyrozumiałości i ciepła rozlana dookoła siebie postać Marty. Spokojna, opasowana, gotowa dużo wybaczyć, a jednocześnie nieugięta, jeśli idzie o zasady, którym ani razu nie sprzeniewierzyła się w życiu. Ma dobrotliwy uśmiech i uśmiechające ból ręce. Uśmiech i ręce ducha opiekuńczego domu Syrowarowów, w którym dzieją się rzeczy złe i szkuje się zdrada. Każdy czysty i szczerzy odruch znajduje aprobatę i poparcie Marty, zaś każdą obłudę spotyka jej potępienie, akcentowane milczeniem lub ironiczną uwagą. Marta zmienia się jedynie na wiadomość o przejeździe

towarzysza ze stolicy, Potaszowa. Domyslamy się dawnej wielkiej miłości, która łączyła ich w czasie walki, a którą ta walka przecięła. Ileż jeszcze młodego uczucia, niewinnego zakłopotania zdradzi Marta podczas telefonicznej rozmowy z Potaszowem i pierwszego po długich latach spotkania! To są dobre, głęboko wzruszające sceny.

Siostra Marty, Lizawietta jest nie tyle przeciwstawieniem, ile jej uzupełnieniem. Uzupełnieniem czystości, niezłomności postawy, przejawiającej się bardziej bezpośrednio u kobiety prostej. Bo Lizawietta nie ma wykształcenia Marty, ani jej rewolucyjnej przeszłości. Po rewolucji urosła na działaczkę społeczną, patriotkę rodzinnej wsi. Ta kolchozowa Rzepicha jest władczą, impulsywną, bezkompromisową. Janina Jabłonowska świetnie zaakcentowała te cechy. Już samo jej „królewskie” wejście w asyście chłopów, utrwała w migawkowym obrazie charakterystyczną postać przewodniczącej spółdzielni produkcyjnej. I druga uzupełniająca scena (której nie znalazłem w tekście sztuki), kiedy Lizawietta — Jabłonowska bierze udział w noworocznej zabawie i podziwiana przez wszystkich, nie nie gubiąc ze swego majestatu, idzie w plasy z chusteczką w podniesionej dłoni, przytupując obcasami.

Ten koncertowy „duet” gry znajduje swój najpełniejszy wyraz w epizodzie powrotu Porfiry, siostrzeńca Marty i Lizawiety.

Porfiry (Zbigniew Józefowicz) po długiej tułaczce za granicą powraca do ojczyzny. Szuka tu przede wszystkim odkupienia błędów swojej młodości. Mimo że wraca legalnie, nie odważa się wejść do swego dawnego domu. Trzy dni krąży dookoła, nie zważając na zamieć. Wreszcie, po rozmowie z bratem, decyduje się stanąć w progu mieszkania Syrowarowów. Widzimy go wreszcie — w przedostatniej scenie sztuki. Jest to postać niesamowita: okaleczony w wojnie domowej w Hiszpanii (jest to jego legitymacja ułatwiająca drogę odkupienia), straciwszy oko i głos, moralnie złamany, przyjmujący od ludzi z jednakową pokorą obelgi i jalużnie. I tak właśnie powita go Lizawietta: z początku pełna pasji filipika, a potem wciągnie mu za pazuchę kromkę chleba. Marta natomiast zachowuje w tej kluczowej scenie czujną rozwagę. Milczy, a mimo to wszyscy patrzą na nią, jakby wiedząc, że ostatnie, decydujące słowo należy do niej. A gdy wreszcie przywołuje do siebie Porfirygo i zaczyna ostrożnie czujnymi palcami niewidomego badać jego odzież, rysy twarzy i natrafia na martwe oko, on przyściska głowę do jej piersi i z wysiłkiem wzmawia swoje jedyne (w dramacie) gardłowe słowo — nazwę hiszpańskiego miasta, pod którym został ranny.

Dla widza staje się ostatecznie jasne, że sympatia autora leży po stronie Marty. Dlatego też Lizawietta porusza się w zamkniętym systemie swoich satelitów — chłopów, wtedy gdy Marta polaryzuje dookoła siebie większość osób uczestniczących w akcji sztuki. Są to nie tylko towarzysze Potaszow, spokojnie, dobrze zagranym przez Adama Daniewicza; nie tylko córka Porfirygo, młodzieńca Zoja (Wanda Chwałkowska), która z wprost niewiarogodną odwagą publicznie demaskuje swego ojczyma, demaskuje wiedząc,

bardziej namacalna i daje się wyodrębnić w wątku Stjepana Syrowarowa. Ten typizowany „dyrektor czegoś tam” cały czas „gra” — gra w życiu, gra kierując umiejętnie wypadkami, rozprawia się z tymi, którzy stają na jego drodze — jedni z nich „na czasie” popełniają samobójstwa, inni są jego powolnymi narzędziami. Dopiero sam na sam z sobą wygłasza monolog, które mają ujawnić jego wewnętrzny świat, pełen sprzeczności, wahań, tchórzliwego strachu, cynizmu i pragnienia ucieczki od rzeczywistości. Przypomina lino-

epoki. Na przykład, typ adwokata z lindsieci. Brodka, długi płaszcz, biały rozwiany szalik, aktorskie ruchy. Patrząc na tego schludnego starszego pana, zapominamy, że jest on wyrzutkiem, nalogowcem — alkoholiczkiem, „byłym człowiekiem”. Jego nagła śmierć na scenie ma w sobie również coś nieręczystego. Lopotuchin przewraca się jak pacyntka w teatrze kukielkowym, zaś fakt jego zgonu nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji — ani w domu Syrowarowów, ani we własnej rodzinie. Rodzona córka Lopotuchina, Wala, w parę godzin po jego śmierci zwraca się do Zoja z taką bezbrzydą repliką: „Jak dziwnie, Zojko, ja straciłam ojca, ty odnalazłaś, ale wszystko zostało po dawnemu”.

Wyczuwam jakiegoś braku inscenizacji, niedotarcia, które bynajmniej nie są winą aktorów świetnie kreujących role: Stefana — Bogusław Sochnacki, jego żony Katarzyny — Halina Machulska, Lopotuchina — Zygmunt Malawski.

I jeszcze — scenografia. Leonow proponuje ujęcie naturalistycznie wnętrza mieszkania Syrowarowów, z naśladowaniem zamieci, rozszalałej na zewnątrz: „porywy wiatru i uderzenia śniegu o szyby”. Iwona Zaborowska, scenograf Teatru Nowego zrezygnowała z tej autentyczności na rzecz ukazania ogólnych cech zaniedbania, które Stjepan kulturuje w swoim życiu prywatnym, aby upozorować bezinteresowność, uczciwość. Zaborowska poszła nawet dalej, opłótszy sufit pajęczyną „pod mikroskopem”, symbolizującą świat chciwości i obłudy. Oczywiście, jest to sprawa gustu. Mnie osobiste takie rozwiązanie bardziej odpowiada.

Państwowy Teatr Nowy — Leonid Leonow „ZAMIEĆ”, sztuka w 4 aktach, przekład: Maria Zagórska, reżyseria: Wanda Laskowska, scenografia: Iwona Zaborowska.

LEON GOMOLICKI ZAMIEĆ

że tym samym pograża całą rodzinę, przekreśla własną karierę życiową, wyrzeka się miłości tchórzliwego narzeczonego. Należą do ich „obozu”, tj. ludzi uczciwych, prostolinijnych, czystych — także i Zina, „swój człowiek przy Marcie”, i paczka młodzieży, kolegów Zoja z architektury. Wszystkie epizody sztuki, w których występuje ta młodzież, uważam za bardzo udane, toteż z prawdziwą satysfakcją wymienię tu nazwiska: Barbary Nikielskiej (Wala), Andrzeja Maya (Sierioża), Witolda Zatorskiego (Madali), Andrzeja Głoskowskiego (Zaworonkowi).

Nie można też obejść milczeniem dwugłosu — Krystyna Feldman (Zina) i Ludwik Benoit (Sarpion Tiotkin). Wstępują oni w rodzajowym epizodzie swatania chłopca, infantylnego brodacza, wdowca, który szuka nie tyle żony, ile pracownicy w domu i w polu i nianki dla swoich dzieci.

W tym kręgu zamyka się sztuka Leonowa. W czymś bardzo istotnym kontynuująca tradycje teatru rosyjskiego. Tradycje statycznych dramatów Czechowa i dynamicznych Gorkiego. Decyduje w nich prad świeżego powietrza — jakiejś wysokiej nuty moralnej. Ale dramaturgia Leonowa zawsze miała również i inne ciągoty, dążąc ku kompozycjom ostrych kontrastów. Niektórzy widzą w tym wpływy Szekspira, inni nazywają „dostojewszczyzną” pokutującą podobno w ogóle w twórczości autora „Borsuków”. Gorki stanowczo zaprzeczył temu w swojej przedmowie do francuskiej wydania wymienionej powieści. Niemniej w sztukach Leonowa nie brak postaci i sytuacji charakterystycznych dla poetyki Dostojewskiego. „Zamieć” nie jest tu odosobniona. Warstwa „dostojewszczyzny” jest w niej jak naj-

skoczka zachowująca równowagę na zawrotnej wysokości. Maska przylega do jego twarzy, uchyla ją jedynie wobec żony i szantażysty Lopotuchina. Tak, właśnie — ten Lopotuchin! Postać jakby żywcem przeniesiona z kart powieści Dostojewskiego. Ma ona pełnić rolę „krzywego zwierciadła” uwielokrotniającego złe rysy Stjepana. Jest to jego cień, którego Stjepan pragnie i nie może się pozbyć.

Zastanawiając się nad tą rolą, należy zadać sobie pytanie, czy Lopotuchin jest istotą rzeczywistą, czy tylko majątkiem nieczystego sumienia Stjepana. Bez odpowiedzi na to, nie można nawet określić zewnętrznego wyglądu tego ewentualnego fantomu. W przedstawieniu, które nam pokazał Teatr Nowy, jest to ktoś z całkiem innej



spektakle tygodnia

FILM		
WISLA — „Ranny w lesie”	6806	83%
WLOKNIARZ — „Koniec naszego świata”	8432	80%
TEATR		
JARACZA — „Antoniusz i Kleopatra” — 1 spektakl	600	88%
POWSZECHNY — „Romeo i Julia” — 2 spektakle	1237	92%
NOWY — „Jaśnie Pan Nikt” — 1 spektakl	668	100%
7.15 — „Odjazd 6.55” — 6 spektakli	1586	60%
NOWY — „Maria Stuart” — 1 spektakl	717	100%
NOWY (Mala Sala) — „Cale zycie” — 4 spektakle	722	92%
OPERETKA — „Ptasznik z Tyrolu” — 6 spektakli	3950	94%
OPERA — „Verbium Nobile” — 1 spektakl	711	100%
ESTRADA — Występ zespołu Marino Mariniego — 3 koncerty w Hall Sportowej	20 000	
FILHARMONIA — Koncert symfoniczny — 2 koncerty	975	60%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Jan Czarny OBRAZY



Edward Kuśnierz należy do twórców, o których można powiedzieć, że chadzają własnymi ścieżkami. Dla takich jak on stoją otworem nie tknięte stopą ludzką obszary — na takich jak on czują się uczęszczane szlaki.

O wynikach tych peregrinacji mówią nam najlepiej prace wystawione ostatnio w Związku Literatów.

Kuśnierz prezentuje obrazy olejne, kompozycje utrzymane w pokrewnych konwencjach obrazów zrobione z drzewa. Są to, ni-

to płaskorzeźby, ni to obrazy-rze-

czy. Farba olejna, wobec rozwoju techniki i wynalazków nowych farb i tworzyw, straciła wiele z dawnej neutralności i elegancji — przestaje działać jako materiał uniwersalny, tajemniczy, obrazujący wszystko, umiający oddać zarówno otaczający nas świat w sensie iluzjonistycznym, jak i abstrakcyjnie problemy formy i koloru.

Stąd notowane dziś ucieczki od oleju, jako od techniki z dawien dawna sprawdzonej, klasycznej i niezastapionej. Stąd też tęsknota do obrazu-rzeczy, który działa nie tylko rozwinięciem koncepcji płaskiego widzenia, rozbiciem lub jednoczeniem płaszczyzny za pomocą koloru i formy, ale również i przez swoją objętość, ciężar i fakturę materiału.

Sam obraz, bez względu na jego stosunek do świata przedmiotów jest w tym wypadku przedmiotem.

Kuśnierz w swoich obrazach-rzeczach lokuje wszystkie pierwotne tęsknoty do materii i majster kowania. Jest mistrzem cechowym, artystą-rzemieślnikiem. Ta wielka odpowiedzialność za materialną stronę obrazu czyni z niego umiającego technika. Jego nowoczesne kompozycje olejne nie są, jak to się zdarza często u młodszych, „nachłapanie”, są na-

malowane — nie zrywają więzi z tradycyjnym warszatem malarskim lecz go rozwijają, przenoszą go na grunt nietradycyjnych zagadnień.

W pięciu kompozycjach — płaskorzeźbach, w traktowaniu powierzchni obrazu Kuśnierz wyraża nie nawiązując do konstruktywistów, do sztuki Arpa, Kobra, Stawewskiego — postępując się nasażonymi na płaszczyznę, wyciętymi z drzewa elementami. Ale kompozycje te nie zrywają z uprawianym przez niego malarstwem szta lutowym — kontynuują je, mimo że brak w nich tradycyjnych środków materiałowych — farby i płótna. Zastępuje je drewno — jego słoje i faktura oraz kontrastowanie występujących w kompozycjach materiałów.

Również inny plastyk lódzki — Krystyn Zieliński swoje kompozycje z lutowanych blach nazywa obrazami, dlatego że — jak mówi — służą one do wieszania ich na ścianie, bo mają „twarz” umieszczoną frontalnie.

A więc element rzeźbiarski w sensie materiałowym jest w obu tych wypadkach komponentą czy sto malarską, tak jak u niektórych rzeźbiarzy współczesnych kolor lub kontur trafnie umieszczony na rzeźbie, wtapia się w nią i przestaje być elementem malarskim lub graficznym,

Srodki wyrazowe pojęte klasycyzm nie w dyscyplinach plastyki współczesnej rzadko występują w chemicznie czystej formie. Typowym przykładem może być Calder. Jego mobile z metalowych prętów i blaszek (poruszających się na wie trze — stąd ich nazwa) są naszym innym jak rzeźbą i grafiką jedno cześnie; arabski wygiętych, metalowych prętów na tle przestrzeni jasnego nieba jest najważniejszym środkiem ekspresji. Są więc nie tylko innowacją w pojmowaniu roli światła w rzeźbie, ale wzbogacając statycznie pojętą rzeźbę o dodatkowy element zmienności i ruchu.

Sztuka Kuśnierza również oscyluje między malarstwem a rzeźbą — posługując się wypróbowanymi środkami, usiłuje zmienić ich kontekst i wydobyc nowe efekty.

Na pierwszy rzut oka w jego obrazach z drzewa i obrazach olejnych spostrzec można trzy różne formy widzenia: poimpresjonistyczne u uczulenie na barwę i światło, pokubistyczną geometryzację z typowym dla niej jak gdyby rozwinięciem na powierzchni płótna siatkę geometryzowanego przedmiotu oraz mondrianowską architektonikę pionowych i poziomych akcentów.

Te trzy różne elementy występują w obrazach Kuśnierza na zasadzie pastiszu i parafrazy, a kom-

ponentą jest jedynie wrażliwość autora. Ten swojego rodzaju eklektyzm jest jednocześnie jak gdyby przeciwstawieniem sobie historycznych różnych konwencji. Jest stosunkiem do nich autora — stwarza cały szereg formalnych i pojęciowych proporcji.

Spina te wszystkie postawy kłama współczesnego widzenia — stoicyzm człowieka stojącego na przelomie kultur, mającego do dyspozycji niejedną wypracowaną już konwencję.

Takie stanowisko mogłoby być przyjęte za wygodne asekurancystwo, za żonglerkę, za czczą zabawę formalną, gdyby nie konsekwentny wybór konwencji — związanymi ściśle z okresem formowania się malarstwa Kuśnierza.

A przecież między impresjonizmem, kubizmem a intelektualizmem typu mondrianowskiego istnieje zależność nie tylko w czasie.

Mamy więc do czynienia z pewnego rodzaju prawidłowością, ze świadomym wyborem, a współistnienie tych trzech poetyk poddyktowane zostało nie brakiem decyzji czy krytycyzmu, ale przede wszystkim poczuciem względności w ocenie tych poezji.

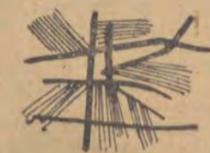
Widzę w tym nie tylko afirmację niewątpliwych zdobyczy malarstwa, ale i chęć kontynuowania ich w dniu dzisiejszym.



Wiersz o człowieku

Ocknij się przyjacielu! a mniéj ważne rzeczy
Porzuc! nieziemny dumie, albo królów pieczy.
Skoło życia ludzkiego tak krótkie są chwile
Ze ledwie się obejrzyz już legniem w mogile,
Zastanówmy się smiało nad człowieka stanem;
Rozległy to labirynt, lecz z właściwym planem;
Puszcza, co obok kwiatów prosi ziele rozdz,
Ogród, co nas owocem wzbronionym uwodzi.
Chciéy razem zemna pole tak obszerne zwiedzić,
Przyrzec! mieysca otwarte i skryte wyśledzić.

Piękny ów cytat pochodzi z „Wiersza o Człowieku” Alexandra Pope’a. „Wiersz o Człowieku”, z angielskiego przełożony przez L. Kamińskiego, opublikowany został w Warszawie, nakładem Zawadzkiego i Weckiego, uprzywilejowanych Drukarzy i Księgarzy Dworu Królestwa Polskiego w roku 1816. „Wiersz o Człowieku” nie trzeba chy-



ba polecać czytelnikowi, któż nie czytał „Wiersza o Człowieku”. Panowie Zawadzki i Wecki — idąc zapewne za radą pana Kamińskiego — położyli na pierwszą stronę owego wydania z roku 1816 cytat z Voltaire’a: „L’Essay sur l’homme de Pope, me parait le plus beau poeme didactique, le plus utile, le plus sublime, qu’on ait jamais fait dans aucune langue”. Co się tłumaczy: „Wiersz o Człowieku Pope’a zdal mi się wiele użytecznym i wielce wytwornym, najpiękniejszym poematem dydaktycznym, jaki kiedykolwiek i w jakimkolwiek języku napisano”. Była to wystarczająca reklama, nieznanym nam niestety nakład „Wiersza o Człowieku” został błyskawicznie rozprzedany. Panowie Zawadzki i Wecki ozdobili też swe wydanie rysunkiem, wia-

snorecznie przez pana Pope’a wykonanym, tak ów rysunek podpisując: „Zalączony tu wizerunek, zrobiony jest podług własnoręcznego malowania samego Pana Pope i już w tym względzie byłby osobliwością, gdyby go wyższość myśli i irnych nie zalecała powodów. Wystawia on próżność chwały ludzkiej w fałszywych ubieganiach się za szczęściem, siatka pajęczyna — trupia głowa laurem uwieńczona obok świecy zgaszonej. — Tudzież rozmaite napisy mają całą moc i zaletę jego najlepszych satyr. Niemniej trafne jest wyobrażenie brodatego filozofa, który przy zarządzbaniem siedząc źródle, puszcza za pomocą słomki bańki z odrobiny wo-

ma być uważanem tylko za ogólną mapę Człowieka, w której same części większe, ich rozległość, granice i połączenia oznaczyłem”. Alexander Pope był moralistą, „Moralistyka i psychologia uprawiana dotąd przez Różewicza — pisał w roku 1956 Kazimierz Wyka w szkicu „Zaległe tomy Różewicza” — była jednowarstwowa”. W roku 1964 Tadeusz Różewicz opublikował poemat „Spadanie”. Wspomina



w nim modną francuską literatkę, która pierwsza i „mimo woli”

zrozumiała że nie ma DNA nie ma kręgów piekła nie ma wzniesienia i nie ma Upadku wszystko rozgrywa się w znajomej niezbyt wielkiej okolicy między Regio genus anterio regio pubice i regio oralis

Ogólna mapa Człowieka, którą nakreślił Pope, bardzo się, jak widać, skurczyła. W poemacie „Spadanie” Tadeusz Różewicz wspomina również głośny film „Mondo Cane”, w którym

usła milionerów usła ich smażone mrówki larwy owady czarne kopeczyki na srebrnych misach wargi jedzących czerwone wargi w Mondo Cane świecąca czerwone wargi

wielkie poruszają się w Mondo Cane. Widziałem ów film „Mondo Cane”. Jest to film, w którym słowo człowiek, od wielu już lat pisane z malej litery, za-



stapione zostało słowem pies. Autor „Wiersza o Człowieku”, Alexander Pope, poeta urodzony w roku 1688 a zmarły w roku 1744 — słowo Człowiek pisano wówczas z dużej litery — jest również autorem krótkiego epigramatu, zatytułowanego „Napis wryty na obroży psa, którego ofiarowałem Jego Królewskiej Mości”:

I am his Highness dog at Kew; Pray tell me, sir, whose dog are you?

Co się tłumaczy: W Kew mieszkam, jestem psem królewskim; Powiedz mi panie, czym jesteś pieskiem?

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

PIERWSZA KSIĄŻKA KULTURZE MASOWEJ

Kiedy jakiś autor po wielu latach pracy wypuszcza w świat swoje dzieło, należy się temu dziełu przyrzec z powagą i bez uprzedzeń. Zaczynam od tego stwierdzenia dlatego, że lekceważenie ludzkiego wysiłku staje się coraz powszechniejsze, a „besserwissenstwo” coraz bardziej zaraźliwe. Ludzie, którzy niczego nie dokonali i sami nie legitymują się żadnymi osiągnięciami, prześcigają się w po mniejszaniu cudzego dorobku. Parę lat temu ukazała się u nas „Sociologia” Jana Szczepańskiego. Była to pierwsza tego rodzaju praca polskiego socjologa, wydana po wojnie. O ile sobie przypominam niekt nie podnosił zalet tej publikacji, wszyscy natomiast z upodobaniem wytykali jej wady i uchybienia. Najwyższą przyjemnością ludzi zdają się mieć z krytykowania. Nie: nie z krytykowania, lecz z wyszydzenia. Pogniebił kogoś, jego prac, jego dorobek — to dopiero jest coś! Pochwalił, podnieść zalety — nie, to przekracza możliwości wielu krytyków.

Właśnie ukazała się pokazanych rozmiarów praca Antoniny Kłoskowskiej pt. „Kultura masowa”. Pewien młody człowiek powiedział do mnie bezapelacyjnie i bez zmużenia powiek: „To zła książka”. Mój Boże, jakże mu zazdrośnie! Ledwie spojrział na rzecz, ledwie pokartkował i już wie: niedobra. Co za talent, co za przenikliwość. Ponieważ jestem co najmniej innego zdania, niż ów czytelnik i znający wszystko krytyk, postanowiłem o „Kulturze masowej” napisać. Zresztą nie jedyny to powód. Płory mnie zdopinguwał. Niedawno przyjechał do Łodzi cięty i krewki felietonista, by mówić o problemach kultury masowej. Wszyscy obecni byli zawiadzeni. Mówił chaotycznie i powierzchownie. W dyskusji padło więcej uwag ciekawych i cennych, niż w jego referacie. Tak więc piszę i mówię się u nas wiele i ciągle o kulturze masowej bez odpowiedniej wiedzy w tym zakresie. Czyżby nowy kult niekompetencji?

Książka Antoniny Kłoskowskiej ukazuje się w samej porę. Przychodzi w sukces tym, którzy zajmują się kulturą masową jako specjalistami i tym, którzy chcą po prostu wiedzieć coś więcej na ten temat. Jest to pierwsza w języku polskim praca, próbująca zagadnienia

kultury masowej przedstawić w ich rozwoju historycznym, zebrać je i uporządkować. Składa się ona z czterech części i rozpatruje następujące problemy: rozumienie kultury, ramy społeczne kultury masowej, obraz kultury masowej, szkic zagadnień kultury masowej w Polsce. Książka ma więc charakter monograficzny, dąży do wszechstronnego ujęcia i omówienia tematu z pozycji krytyki i pozycji obrony. Antonina Kłoskowska nie jest bezkrytycznym entuzjastą kultury masowej we wszelkich jej przejawach. Nie jest też uprzedzonym krytykiem, negującym jej założenia i cele. Rozważa analizę problemu kultury masowej, rozpatruje wszystkie „za i przeciw” w oparciu o poważną już w świecie literaturze przedmiotu, czyni z tej książki lekturę tyleż poważną, co i fascynującą. Antonina Kłoskowska źródła i początków kultury masowej doszukuje się w czasach narodzin cywilizacji przemysłowej, a więc mniej więcej przed dwustu laty. Stosunkowo dużo miejsca w swojej książce poświęca ona analizie zjawisk kultury masowej w XIX stuleciu i to na różnych obszarach naszej ziemi: zarówno w Europie jak i za oceanem. Dziś, w wieku dwudziestym, kultura masowa dysponuje potężnym arsenałem środków i sposobów, ale wtedy w minionym stuleciu jedynym elementem kultury masowej było słowo drukowane, była książka. Czytałem gdzieś (nie pamiętam już gdzie), że wiek dziewiętnasty był wiekiem słowa, natomiast nasz wiek dwudziesty jest wiekiem obrazu. Słowo dawno już utraciło swoją autonomię a wraz z autonomią i siłą. Nie ma tego zaufania do słowa, co dawniej, gdy było ono najważniejszym i najpotężniejszym środkiem oddziaływania na opinię i umysły ludzkie. Dziś obraz telewizyjny i kinowy wypiera słowo, umniejsza jego wagę i znaczenie. Książka jest jednym z wielu, a nie jedynym

jak niegdyś organizatorem wyobraźni. Dziewiętnastowieczny magazyn to kaszka z mlekami wobec tego co ofiarują nam obecnie środki masowej komunikacji. Człowiek współczesny atakowany jest bezustannie z równą, świat oferuje mu wiele możliwości, co z tego wybrać, co odrzucić — oto jest pytanie.

Choć fragmenty książki Kłoskowskiej, dotyczące problemów kultury masowej w Ameryce są bardzo interesujące i dają wgląd w świat /nany nam bardzo powierzchownie, dla mnie osobliwie najciekawsza jest część, dotycząca spraw polskich. Zresztą i naszych polskich problemów nie rozpatruje Kłoskowska w oderwaniu, lecz na tle ogólnego rozwoju cywilizacji światowej. W czasie, gdy inne szczęśliwsze na rody mogły rozwijać się swobodnie i bez skrupowania, kraj nasz borykał się z trudnościami podstawowymi i walczył o swój byt narodowy. Mówimy dzisiaj: młodzież cywilizacyjna Polski, prowincja europejska, zaściana. Ale mało kto wmyśla się w tragizm sytuacji kraju, który ponad stulecie nie miał prawidłowego rozwoju, który wyrównywać musi tragiczne wyrwy przeszłości, doganiając w ustokrotnionym wysiłku to, co gdzieś indziej wcześniej i mniejszym nakładem sił i środków dawno już osiągnęło. Kultura masowa w Polsce to dążenie do kultury jednorodnej (homogenicznej), ogólnonarodowej, jednolitej, bezklasowej. Oczywiście z pojęciem kultury masowej wiąże się niebezpieczeństwo latwizny, wulgarności i szmiry. Antonina Kłoskowska nie pomija żadnego z elementów w omawianym przez siebie kompleksie się zagadnień. I jeszcze na jedno chciałabym zwrócić uwagę: polszczyzna jej książki. „Kultura masowa” napisana została klarownym językiem, jasno, konkretnie, pewna energia a nawet dynamiczność stylu czynią tę książkę dziełem żywym i zajmującym. Chociaż jest to, obywatelstwo rzecz biorąc, cyfrowo obszerna (blisko 500 stron druku), zaleca się zwięzłością i przejrzystością wykładu. Rozgadaniem można przecieczyć i z łatwością utworzyć duży jak i mały.

Jestem gorącym zwolennikiem takich książek, z których, poza wszystkim innym, wypływa jeszcze jeden wniosek: ludzie, nieściecie jasno!

Jan Kłopotowski

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-75; Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12; Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Ogłoszy”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwicki 11. Zam. 1335 IV. 64. P-4

Notatnik kulturalny

30. IV. — 26. IV.

PONIEDZIAŁEK

Książka. Potężny, opasty tom — takie książki wielu chętnie ustawia na półkach swoich bibliotek. I tytuł też solidny i wiele ważący: „Łódź jako przedmiot badań naukowych”. Na konferencji prasowej w Łódzkim Komitecie FJN sprezentowano dziennikarzem tę publikację. I słusznie. Bowiem jest to niezawodny sposób, żeby książka została odpowiednio zareklamowana. Chociaż za reklamę wystarczą same nazwiska autorów: Gryzdzka Missalowa, Jan Szczepański, Paweł Korzec, Edward Rosset, Robert Rembelski, Prac i autorów naliczyłem zresztą 33. Można więc parafrazować Wieszczka mówiąc: „A imię jej (publikacji) trzydziści i trzy”.

WTOREK

Ogłoszono dziś suchy komunikat. Wynik rozpisane dwa miesiące temu konkursu plastycznego pt. „Człowiek”. Nie będę przytaczał nazwisk wszystkich

czternastu nagrodzonych malarzy, rzeźbarzy, grafików. Zatrzymam się natomiast przy niektórych pracach, które zanim zostaną publicznie eksponowane miałem okazję obejrzeć. Człowiek — temat b. szeroki. Mieści się w tym temacie i manifestacja Garbolińskiego i portret gen. Świerczewskiego Justa i getto (jedna z najbardziej wstrząsających prac) Lukasika. Wśród grafik znalazłem dwie bardzo ciekawe — linoryt z sielankami żołnierzy p.t. „Osadnicy” i urocz. b. luko-bajkowe „Diamenty we gody” z parą statusz-ków. Autorzy tych prac Wacław Kondek i Leszek Rogala otrzymali drugie nagrody. Pierwszej w dziedzinie grafiki nie przyznano. Podobnie zresztą w dziedzinie rzeźby, gdzie drugie nagrody dostała praca Szadkowskiego i rzeźba Kowalczyka — w maszynę bryły wtopione dwie ludzkie postacie i cyfra XX. Nie byłoby konkursu, gdyby nie organizatorzy i ci którzy „dofinansowali”. Z kronikar-

skiego obowiązku trzeba ich wymienić: ZPAP, Wydział Kultury Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej, WKZZ, Łódzki Związek Spółdzielczości Pracy i., Zakłady Mięsne. Nie może być zle z kulturą w mieście, w którym rzeźnia uczesniczy w organizowaniu konkursów plastycznych.

SRODA

Przyznają się. Pseoczyłem. Chodzę po tym mieście, oglądam wystawy sklepowe i inne, ale rzadko zaglądam na podwórka. A tu właśnie, pod samym nosem redakcji PTTK otworzyło ciekawą wystawę fotograficzną przyrodniczą. Ekspozycja wcale nie zaściana, wcale nie prowincjonalna, choć mieści się w oficynie łódzkiego podwórka. Pięćdziesięciu autorów z całej Polski (z Łodzi tylko Janusz Hereñiak o którym pisałem w poprzednim notatniku) — 130 prac — labędzie i czaple, mewy i sikorki i oczywiście te wszystkie botaniczne dziwki o nazwach brzmiących jak futurystyczna poezja — zamrocznik wilczomleczek, ciemięzyc zielona, świstunka, biegusy ziemne, grązele i zanożnice. Niestety, nie mogę tej pięknej wystawy polecić nikomu, bo dziś ją

zamknęto. Tak więc przeoczyłem — oto skutki pomijania w kulturalnej penetracji łódzkich oficyn.

CZWARTEK

Prof. dr Witold Doroszewski — „wódek” pół setki językoznawców pracujących nad 11-tomowym Słownikiem Języka Polskiego. O czym mówił dziś w LDK prof. Doroszewski? Mówił o leksykografii — barwnie i ciekawie, co rzadko naukowcom się zdarza. Rozwój leksykografii czyli po polsku słowni, karstwa przewidywano już dawno i dziś jest to zupełnie samodzielna dziedzina nauki o języku. A jest się czym zajmować. Doroszewski zamyka się cyfrą pięciu tysięcy nowych słów, które na stałe weszły do języka. A przecież tzw. Słownik Warszawski — jedyny pełny dotychczas słownik języka polskiego — nie podawał źródeł, nie wskazywał na korzenie słów. Słownik nad którym pracuje prof. Doroszewski musiał wobec tego ten aspekt zagadnienia uwzględnić. Efekt — w pokojach redakcji w pałacu Staszica znajduje się 6 000 000 fiszek, na których zgromadzone materiały naukowe „następnych sześciu tomów. Materiały do pracy czer-

pano z 3 200 dzieł. Nowy, współczesny Słownik Języka Polskiego obejmuje współczesność, cały wiek XIX i na dodatek sięga jeszcze do wieku XVIII. A zaczyna — jak z uśmiechem zauważył prof. Doroszewski — przed czterestnastu laty w dwu małych kioskach na strychu Polskiej Akademii Nauk. To stwierdzenie jest jakimś charakterystycznym przyznaniem do tematu „Rozwój polskiej nauki w dwudziestolecie”.

PIĄTEK

Początkowo nie chciałem wierzyć. Szeroko reklamowany turniej dla młodych poetów w kraju gdzie co trzeci pisze — toż to będzie lawina wierszy. Ale nie. Zaledwie 60 młodych wstąpiło w tzw. szranki. A byli to naprawdę młodzi, bo przeszło 30 nie skończyło jeszcze 18 lat. Nagrodzono 11 osób — niektóre nazwiska znam z almanachów, „Ogłosów”, „Tygodnika Kujurałnego”. Jest parę nowych twarzy — nie znam się na poezji ale jakoś najbardziej z tradycyjnego stereotypu poeta pasuje mi Jan Karoluk zupełnie nie po dzisiejszemu cygański i oryginalny. Epoka z lekką zwiariowaną bohemy arty-

stycznej skończyła się chyba wraz z Młodą Polską — to miłe ujrzenie peleryny na ramionach młodego poety choćby to była tylko peleryna w przenośni.

SOBOTA

Jeszcze do niedawna wldywałem je na Bałuckim Rynku. Zszargane, zatłuszczone, z brakującymi kartkami. Książki-widma, książki-potworki — literatura z nieprawego łoża. Ale czytano te wszystkie „Upiory Łodzi”, „Białe niewolnice”, „Leonardo Pratto — pogromce ognistego miecza”. Dziś odchodzi w mrok zapomnienia. Janusz Dunin pisze o nich dla Wydawnictwa Łódzkiego książkę, pisze o kupletach i balladach, poradnikach i sennikach. Były przed wojną takie piękne „Senniki egipskie” wydawane przez antykwariuszy ze Świętokrzyskiej; „Cysarza Franciszka jak się w Dunaju kąpie w dziele — sianokosy latoś będą bogate bylebyś się z koba nie ocigał, durniu jeden. Z słowa nida na kołowrotku kręcić — bez ochyby strata cie spotka, w trzy karty na jarmarku talara srybrem przegrasz”. O tej uroczej, a pogardzonej literaturze pisze właśnie Janusz Dunin. Gdyby ktoś miał w tej

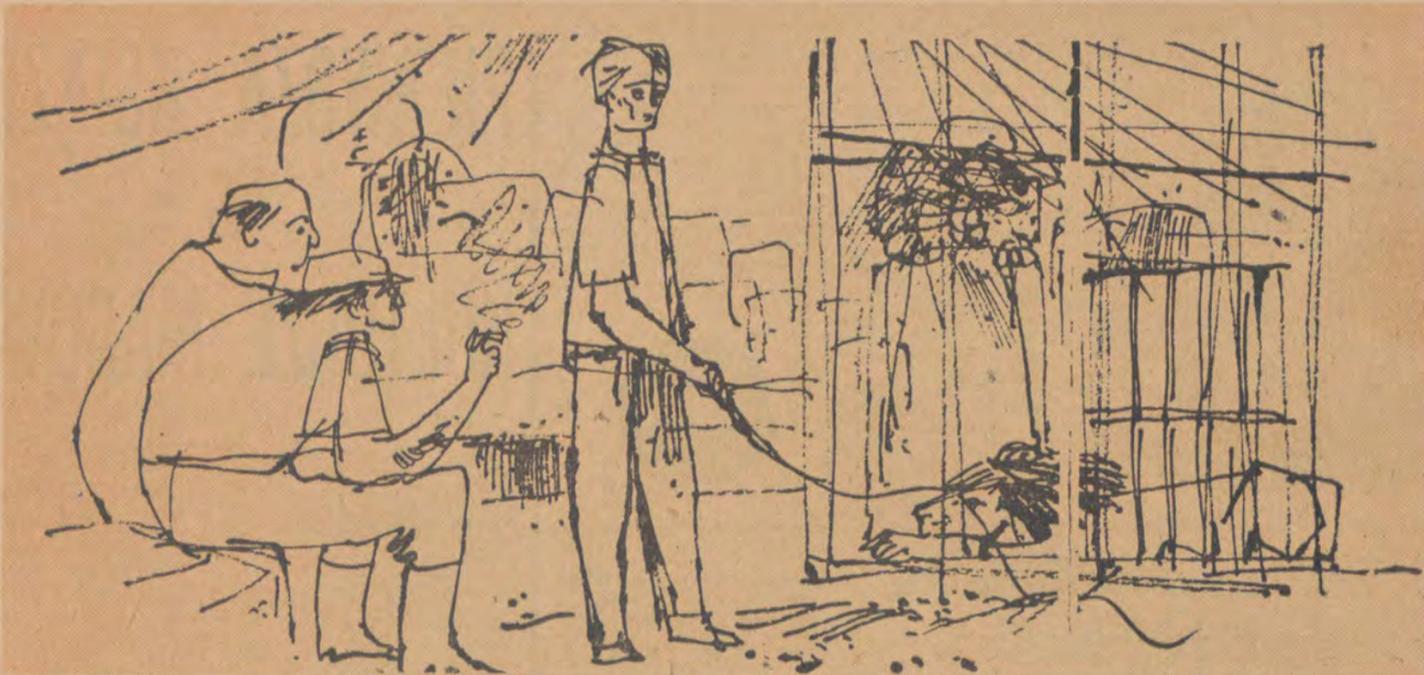
materii coś do powiedzenia niech się zgłosi do Biblioteki Uniwersyteckiej — Matejki 34/36.

NIEDZIELA

Nie ma dla mnie nic bardziej denaturującego nad sprzeczność między teorią a praktyką. Teoria mówi: kultura fizyczna dąży do tężny obywateli, zapewnia kulturalną, zdrową rozrywkę. Praktyka: kawiarz KS „Tramwajarz” na Zdrowiu jest ponurą spekulacją z klientelą znużoną wyszynkiem — drzemającą na wiosennym słończku... Wszystko to zakrawa na groteskę — na ścianach afisze o tematyce sportowej, przy barze zawody w podnoszeniu na wysokość ust ciężarków 50 i 100-gramowych. Jeden z największych w Europie parków — pługa Łódź — nie ma kafejki, gdzie można by wypić kawę, odpocząć. Nie nawołuję do powołanej absencji, nie nawołuję nawet do absencji sportowców, ale na Boga piękna w salach recepcyjnych „Słonia” czy „Turystycznej”, a klub sportowy, który podjął się zorganizowania kulturalnego odpoczynku niech nie stawia sprawy na głowie. Albo raczej — na czworakach. J. W.

FERENC SANTA
TŁUM.
Janusz Skoszkiewicz

OPOWIADANIE Włoskie



Przed południem, pięć minut po jedenastej — jak to pokazywał mały ścienny zegar — do biura dyrektora cyrku „Mercury” w Neapolu wszedł młody człowiek. Był nędznie odziany, w spranej koszuli i zdartych butach.

— Przychodzę z ogłoszenia — powiedział, — Z ogłoszenia w gazecie...

Stał przy drzwiach.

— Co pan ma wspólnego z ogłoszeniem? — spytał dyrektor i obejrzał przybysza od stóp do głów.

— Przekona się pan. — Nie sprawia pan zachwycającego wrażenia.

— Niech pana o to głowa nie boli. Proszę poprobać.

— Skąd pan przychodzi?

— Z ulicy.

— Chciałbym wiedzieć, gdzie pan przedtem pracował?

— Pomówimy o tym później.

Dyrektor wstał i uchylił drzwi do sąsiedniego pokoju.

— James!

Wszedł krępy mężczyzna w białym płóciennym garniturze i w długich butach. Na nosie miał ciemne okulary.

— Pan sobie życzy?

— Przyszedł z ogłoszenia — wyjaśnił dyrektor.

Mężczyzna w długich butach był Włochem, ale tu w cyrku mówiono na niego James.

— U kogo pan pracował?

— Poznamy się, potem będzie dość czasu na rozmowę.

Dyrektor wzruszył ramionami. Podszedł do biurka i zjął słuchawkę z widełek.

— Powiedźcie Teofilowi niech ustawi klatkę, a potem przygotuje Donnę, Cezara i Paniękę. Karmienie potem.

— Mężczyzna w długich butach podszedł do przybysza wyciągając ku niemu rękę z papierosnicą.

— Niech pan zapali.

— Dziękuję.

— Pan nie pali?

— Nie.

Mężczyzna w długich butach spojrział na dyrektora. „Zapali później” — bąknął. Potem zwrócił się do młodego człowieka:

— Pan nie jest Włochem, prawda?

— Nie — odpowiedział. Odwrócił głowę i patrzył w okno.

* * *

Za prętami dość małej klatki, zajmującej zaledwie jedną szóstą lub jedną siódmą areny, leżały trzy drapieżniki: lew i dwie lwice. Jedna z nich spoczywała na najwyższej skrzyni, druga usadowiła się tuż za opuszczonymi drzwiczkami klatki, w poprzek wejścia.

— Czekamy jeszcze na bat — powiedział dyrektor — niech pan siada.

Usiedli, jeden obok drugiego, na murku oddzielającym arenę od łóż i widowni.

— Niech pan uważa na żółtą i nie spuszcza jej z oczu — przestrzegł mężczyzna w długich butach. — Jest podstępna i zawsze zła.

— Jak pan długo pracuje w

swoim zawodzie — spytał dyrektor.

Młody człowiek siedział sztywno wyprostowany z dłońmi wsparty o kolana. Pod oczami miał głębokie cienie. Żółta lwica wolno wstała, przeciągnęła się i zaczęła silnie drapać brzeg skrzyni. Była świetnie odżywionym drapieżnikiem, o błyszczącej rdzawobrązowej sierści. Jej zad sterczał wysoko.

Cicero mówi o dwojakim rodzaju obowiązków — myślał młody człowiek. Jedne z nich nazywa idealnymi, być może użył on innego wyrażenia, ale to mi nie przeszkadza. Do takich należą: ćwiczenie myśli, doskonalenie się, patriotyzm i tym podobne. Pozostałe mieni on obowiązkami użytecznymi, a jako takie, mniej doskonałymi. Do nich należą np. troska o środki utrzymania dla siebie i swych dzieci, zabieg o dobra materialne, słowem zapewnienie sobie codziennego pożywienia...

Żółta lwica otworzyła z wolna paszczę. Milcząc, ziewnęła straszliwie. To ta, na którą mam uważać. Chciałbym tylko wiedzieć jak Cicero, Panaecjusz lub Ariosto nazwaliby to co teraz uczynię.

— Ma pan dziesięć minut czasu. To wystarczy, abymy wiedzieli co pan potrafi — powiedział dyrektor.

Jego czas na pewno jest drogi. Dla mnie zaś jest najzupełniej obojętne czy pójdę do tych bestii na dziesięć minut czy na godzinę, tak jak jest mi wszystko jedno, czy będę zwracał specjalną uwagę na żółtą lwicę. Muszę uważać na wszystkie, żeby się nie spostrzegły, że nigdy w życiu nie widziałem lwa. Przynajmniej niech nie zauważą niczego, póki będę w klatce.

Przyniesiono bat, — Niech pan uważa na żółtą! — przypomniał mężczyzna w długich butach.

— Proszę o papierosa — odezwał się młody człowiek. Spoglądał na klatkę ze zwierzętami, którą teraz oświetlały reflektory.

— Mógł pan i przedtem wziąć — zauważył mężczyzna w długich butach podając papierosnicę.

— Już drugi dzień nie jem, myślał młody człowiek, zbliżając się w blasku reflektorów do klatki. Żeby przynajmniej wypić szklanek mleka z pewnością czułbym się lepiej. Jestem jak ów bokser u Jacka Londona, któremu zabrakło kawałka mięsa. W każdym razie zrobię wszystko na co mnie stać, niezależnie od tego co mówią filozofowie na temat obowiązków. Niech nikt nie może mi nic zarzucić. Ach, gdybym wypił choć szklankę mleka! Człuchym się znacznie lepiej.

Obok drzwiczek klatki stanął posługacz.

— Gotowe?

— Gotowe.

Posługacz wskazał lwicę, która leżała tuż za drzwiczkami.

— Niech pan ją przepędzi!

— Dobrze — powiedział.

Zwierzę podniosło łeb, spojrzęło przez pręty. Ich spojrzenia spotkały się.

— Go! — zawołał. Znał tylko parę słów po angielsku i wła-

ściwie nie zdawał sobie sprawy, dlaczego używa tego języka.

— Go! — powtórzył i machnął bitem poprzez pręty.

Lwica zawaehlowała ogonem i uniosła się.

— Go! — cofnął się, bijąc bitem zwierzę po nosie. Tym samym ruchem jeszcze raz uniosł bat i uderzył, teraz nieco silniej. Lwica mruknęła i odeszła na drugą stronę klatki.

— Noo! — odezwał się młody człowiek.

Służący otworzył klatkę. Młody człowiek, przygarbiwszy się nieco, wszedł do środka. Usłyszał jak zapadają się za nim drzwiczki.

Myśl o mleku nie daje mi spokoju. Ciągłe widzę przed sobą szklankę mleka. Zimnego mleka. Szklanka perli się rosą. Nie wolno mi o tym myśleć.

Żółta lwica podniosła się powoli i lekkim, szybkim ruchem zeskoczyła ze skrzyni na ziemię. Spacerował wewnątrz klatki. Przy stanął obok zwierzęcia, które już wracało od drzwiczek. Na jeden moment pochylił głowę ku lwicy i błyszczącymi oczami spojrzęł w jej ślepią.

A więc to na ciebie mam uważać! Sprawa między mężczyzną i kobietą, ba, gdybym to ja wiedział kto tu jest lwem, a kto lwicą... Lwa poznaje się po grzywie!

Czoło młodego człowieka stało się wilgotne. Poczul jak z wolna ścisła mu się żołądek.

Niewiele pozostało z mojej ludzkiej godności. Sądzę jednak, że dość, aby nie spuścić wzroku przed tymi bestiami... co do reszty — nie moja wina.

Podszedł do żółtej lwicy.

Muszę wyjść z założenia, że w moim życiu przeżyłem już wiele strachu, ten jest tylko jego odmianą, tą odmianą jakiej jeszcze nie spotkałem, co jednak wcale nie zmienia faktu, że się boję. Moje fizyczne objawy nie różnią się także. To tak jakbym stanął oko w oko z policją, pracodawcą lub władzą.

Między nim a lwicą, nieco z boku, wyciągnięty jak kot, leżał lew. Kiedy młody człowiek zbliżył się do niego, drapieżnik odwrócił łeb i położył swój pysk na łapie żółtej lwicy.

Powinno mi myśleć tylko o jednym i o niczym innym: że niebezpieczne zwierzęta wcale się mnie nie boją. One muszą przecież wiedzieć, że jeśli wykonają to czego je nauczono — a o czym ja właściwie nie wiem — wrócą na swoje śmieci, aby dostać żarcie. A ponieważ się nie boją, nie istnieje przyczyna, która mogłaby je skłonić do nierozważnego czynu, do okrucieństwa. One wcale nie pragną zniszczyć mnie za wszelką cenę. I dlatego właśnie moje położenie tutaj jest dla mnie korzystne. Właściwie po raz pierwszy znalazłem się w okolicznościach, w których ja się nie boję i gdzie nikt nie boi się mnie. Jego wargi wykrzywił lekki uśmiech. W istocie, choć chciał, nie mógł się śmiać.

Ponieważ jednak odczuwam pewien strach muszę się zachowywać jak ktoś obdarzony władzą;

okazać pewność siebie i, bezwzględność.

Lewym ramieniem wskazał skrzynię. Był to ruch nieznaczny, niemal przypadkowy i zauważalny jedynie dla lwicy. Równocześnie podniósł bat i strzelił nim w powietrze.

— Heh-hooo! — zawołał.

I natychmiast wykręcił się i postąpił kilka kroków w kierunku trzeciego drapieżnika. Znowu podniósł bat.

— Heh-hooo! Odwrócił się i uderzył lwa po ogonie.

Żółta lwica mruknęła. Lew wolno się podniósł. Trzecie zwierzę, które zostawił za swoimi plecami, kroczyło majestatycznie, lekko, z opuszczonym łbem, kierując się za skrzynię.

— Go! — powiedział prosto w pysk żółtej lwicy. — Go!

Zwierzę miało żółte, nieruchome oczy. Przeraziło ciężkie, martwe spojrzenie zrenie.

Z takich oczu nie można wyczytać. Nie można liczyć ani na emocje, ani na zamiar. Prześladowała go myśl o mleku, ale nie pozwolił jej zapanować nad sobą. Gdyby miał dobrze wypchany żołądek czułbym się lepiej i nie odczuwał jego skurczów. Jeśli dziś znowu nie zjem, jutro tak zesłabnę, że nie będę mógł zrobić jednego ruchu.

Podniósł bat i spuścił go na kark żółtej lwicy.

— Zdechne, jeśli się nie ruszysz, bestio!

Podniósł bat i cofnął się. Koszula lepiła mu się do pleców, zwłaszcza pod łopatkami.

— Heh-hooo!

Z całej siły, ze świstem bata, uderzył drugą lwicę.

— Bestio, czy nie rozumiesz, że zdycham z głodu?

Skoczył za skrzynię.

— Go!

Zwierzę podniosło się. Rozległ się głęboki pomruk, jak odległy grzmot, i lwica patrząc wciąż za siebie, wolno szczyrząc kły, podszedła do innych. Przygłębła do żółtej, błyskając uniesionymi pazurami. Muszę być bardziej spokojny. Nie wolno mi dać się ponieść nerwom i stracić panowanie nad rozsądkiem. Sprawa musi się tak skończyć, żebym dostał jeść...

Kiedy szedł za skrzynię, poczuł gorącą falę krwi zalewającą mu oczy. Mięśnie twarzy napięły się, a wargi zaczęły drżeć. Nie mogą zostać tu dłużej niż dwie, trzy minuty. Wszystko zależy od żółtej lwicy. Do niej idą zwierzęta, więc i ja muszę do niej iść.

Wyciągnął ramię, pokazał skrzynię i podniósł bat. Nim uderzył lwica wstała i jednym ruchem skoczyła na skrzynię. Nogi ustawiła w przepisowej pozycji.

— Go! — powiedział i zamachnął się na lwicę bitem. Bat przeleciał nad pyskiem. Zwierzę wydało ryk, chwyciło zębami bat i wyrwało mu go z ręki.

Kiedy po kwadransie wyszedł z klatki oparł się o pręty wsadzivszy ręce w kieszenie.

Dyrektor i mężczyzna w długich butach podnieśli się.

— Chłopak źle wygląda — zauważył mężczyzna w długich butach.

— Z pewnością nie jadł od dwóch dni. No, jak?

— Niezłe.

— Damy mu zaliczkę, niech się naję do syta. Wpakujemy go do łóżka a pojutrze przyprowadzisz go na manę — powiedział dyrektor.

— Zgoda — rzucił mężczyzna w długich butach. — Chciałbym tylko wiedzieć, u kogo on się uczył, to nie jest nasza szkoła.

— W porządku, młody przyjacielu — odezwał się dyrektor, kiedy podeszli do klatki. — Niech pan przyjdzie do biura, dostanie pan zaliczkę, a jutro podpiszemy kontrakt.

Młody człowiek wyjął chustkę do nosa i otarł twarz.

— Nie podpiszemy.

Spojrzał jeden na drugiego.

— Nie rozumiem — powiedział dyrektor.

— Nie szkodzi...

Mężczyzna w długich butach wyciągnął portfel.

— Prawdę powiedziawszy... Myśleliśmy, że pan jest bez grosza. — Słusznie! Nie jadłem od dwóch dni.

Dyrektor roześmiał się.

— Zdarza się. Jeszcze dziś dostanie pan zaliczkę. Chodźmy.

— Powiedziałem już, że nie zostanę.

— Co z wami, do diabła — zawołał mężczyzna w długich butach.

— Śmierdzą — powiedział młody człowiek.

Dyrektor wlepił w niego wzrok.

— Co śmierdzi?

— Zwierzęta — wyjaśnił młody człowiek.

Mężczyzna w długich butach roześmiał się.

— Nie rób pan kawałów. Jesteście panną na wydaniu, czy pogromcą dzikich zwierząt?

— Proszę mi wybaczyć! Ale pan sam widział, że potrafię dawać sobie z nimi radę.

Wolno oderwał się od prętów klatki, wsadził ręce w kieszenie i skierował się ku wyjściu.

— Przepraszam — powiedział. Przeszedł przez arenę i zniknął za kotarą.

* * *

W porcie stanął w szeregu tych, co czekali przed biurem magazynów.

— Co nowego?

— Jeszcze nie wiemy. Może przypływa jakiś statek... Poszczęściło się?

— Nie. Nie poszczęściło — odpowiedział młody człowiek.

Jakiś mężczyzna wyszedł z biura. Wskazał trzy silne postacie.

— Wy... wy... i wy!

Trzej mężczyźni wystąpili z szeregu. Pozostali rozeszli się. Jeden poszedł na prawo, drugi na lewo.

Słabo mi — pomyślał kiedy zbliżał się do brzegu. Gdyby mnie wybrano, upadłbym pod pierwszym workiem.

Usiadł na betonie doku.

Myślę, że zdycham... Co za głupstwo.

Patrzył na brudną, oleistą wodę. Doznawał zawrotu głowy, jak tam w klatce między drapieżnikami, jakby powietrze nadal przepłnione było ich odorem. I spluł w morze.